

NR 41
wrzesień–październik
2002

aleje 3

**DWUMIESIĘCZNIK
KULTURALNY
CZĘSTOCHOWY**

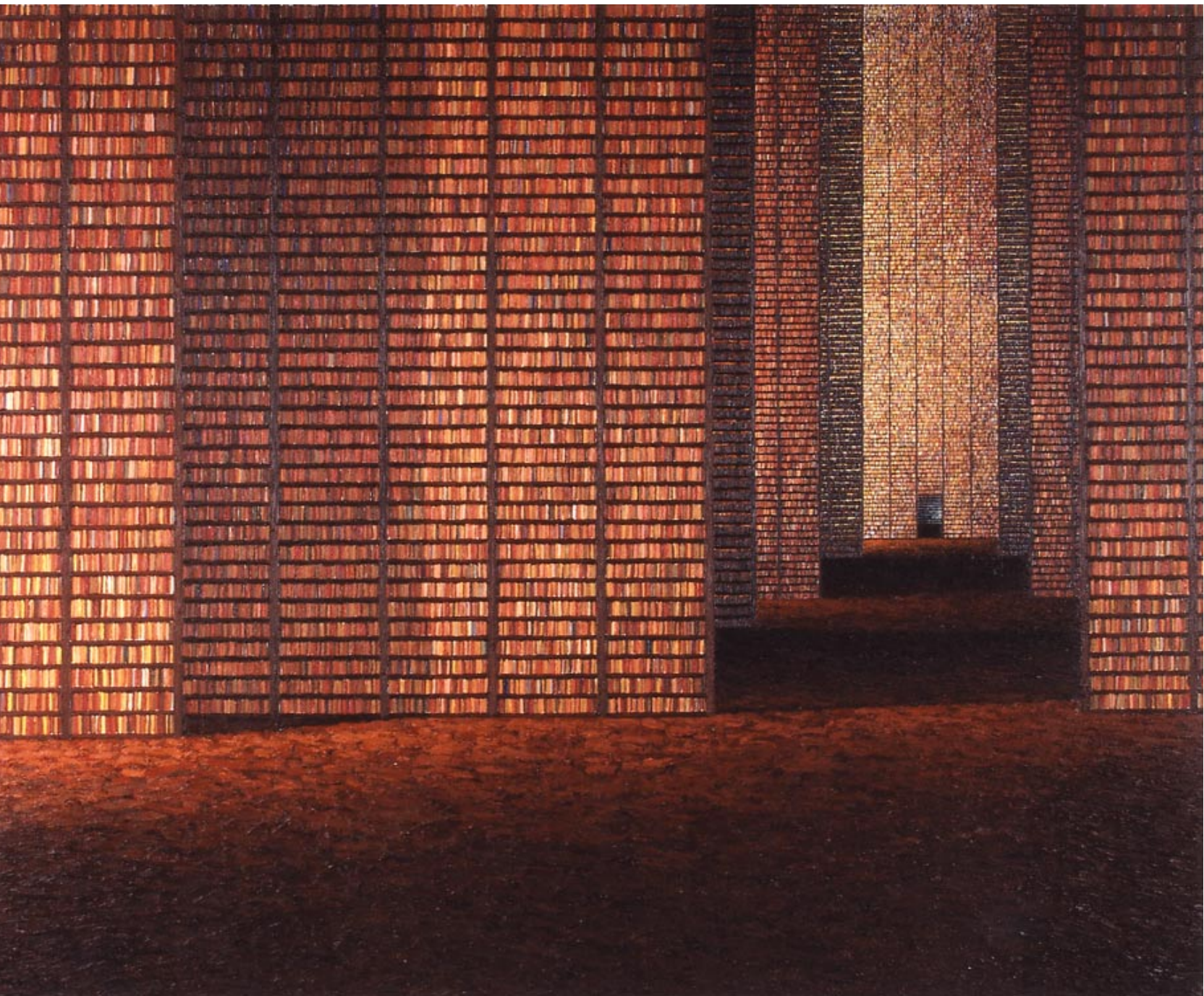
ISSN 1427-8812 CENA 1,50 ZŁ



Adam Patrzyk

W NUMERZE:

Gieryski o „Córce bednarza” * Kmieć o restauracji Sceny Błazen * Patrzyk o sobie



Adam Patryk

z perspektywy blazna	4
reportaż	8
ze sztuką na ty	12
proza	15
poezja	19
recenzje	23
plastyka	27
z miasta	28
zapiski o świcie	31
galeria	33

aleje 3

DWUMIESIĘCZNIK KULTURALNY CZĘSTOCHOWY

Pismo finansowane przez
Urząd Miasta Częstochowy

WYDAWCA

Biblioteka Publiczna
im. dra Władysława Biegańskiego
w Częstochowie
al. NMP 22, 42-200 Częstochowa
kontakt: BOGDAN HENNIG

REDAKCJA

ul. Równoległa 63, 42-200 Częstochowa
tel. (034) 371 07 89
e-mail: aleje3@emediapro.com.pl

Redaktor naczelny

KRYSTIAN PIWOWARSKI

Zespół redakcyjny:

SŁAWOMIR BURSZEWSKI
ARKADIUSZ ZAJĄC

Redakcja tekstów i korekta

ANNA WOLAŃSKA

Redaktor techniczny

MAREK NIEDOSTATKIEWICZ

DTP



ul. Równoległa 63, 42-200 Częstochowa
tel. (034) 371 07 89
<http://www.emediapro.com.pl>

DRUK

DRUKARNIA **KEMOT**
Częstochowa, ul. Krakowska 45

Projekt okładki, layout i opracowanie graficzne

MAREK NIEDOSTATKIEWICZ
ARKADIUSZ ZAJĄC

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów i opracowania
redakcyjnego materiałów przyjętych do druku.

W WAKACJE ZAZNACZAŁEM SOBIE chorągiewkami miejsca na mapie Europy, w których rozbiły się polskie autokary z turystami na pokładzie. Gęsta ich sieć skłoniła mnie do smutnej refleksji, że wypoczynek też ma swoją wysoką cenę. Nie wspominam już o licznych utonięciach, wypadkach w górach, lasach i gdziekolwiek indziej. Wakacje to w istocie okres ciężkich ofiar złożonych na ołtarzu relaksu i zabawy. Skoro to takie niebezpieczne, to dlaczego ludzie tak dążą do wakacyjnych szaleństw?

Amerykański filozof Dean Mac Cannell w swoim dziele „Turysta. Nowa teoria klasy próżniaczej” wyjaśnia wspomniane zjawisko dosyć dokładnie. Otóż we współczesnych czasach turystyka jest jednym z ważniejszych celów dostatnich społeczeństw, oznaką statusu majątkowego i prestiżu towarzyskiego. Jest czymś powszechnym, a kiedyś była rozrywką elitarną. Mac Cannell twierdzi, że turystyka obaliła komunizm! Świat za murem faktycznie wyglądał inaczej... Proszę zauważyć – im bogatszy kraj, tym więcej jego obywateli jeździ po świecie. Przysłowiowi Japończycy z aparatami fotograficznymi to już ikona, a groźba germanizacji Majorki i Wysp Kanaryjskich jest całkiem realna. Turystyka w tych krajach jest formą lokowania oszczędności (podobnie jak w edukację), a pielgrzymka po cudach świata niemal obowiązkiem, wypełnianym często dopiero na emeryturze. Człowiek, który tego wszystkiego nie zobaczył, nie liczy się w gronie znajomych. Mówiąc ogólniej – podróżowanie to zajęcie globalnej klasy średniej, forma próżniaczego (nieproduktywnego) spędzania czasu, styl życia. Wojaże zmieniają świadomość ludzi (od stuleci podróże kształca), rozbudzają w nich zainteresowania ekologiczne, gdy na własne oczy mogą zobaczyć np. stado zdechłych wielorybów na plaży, gdzie się codziennie opalali. Inną formą turystyki jest podróż w drugą stronę – południowej biedoty do bogatych miast Północy w celu zarobkowania. Podobnie jak w pierwszym wypadku, horyzonty podróżników poszerzają się, lecz trudno taką podróż nazwać próżnowa-

niem. Cały świat porusza się w różnych kierunkach, choć z przeciwnych powodów. Rozumiem dziki pęd do krajów śródziemnomorskich dzięki zaciągniętym kredytom. Ileż później można pokazać zdjęć, pamiątek, opalenizny... Według Mac Cannella turystyka jest formą kultury, tak jak filozofia, sztuka i religia, ponieważ dostarcza głębokich doznań duchowych, zaspokaja potrzeby estetyczne itd. Można polemizować, bo boks zawodowy też mógłby być elementem kultury, ale bez turystyki nie byłoby land artu i połowy książek w literaturze współczesnej! Ba! O czym by pisał Homer?

Grand turizm także przechodzi swoją ewolucję. Sto lat temu przewodniki Beadeckera oprowadzając po Paryżu – wówczas stolicy artystycznej świata – zachęcały do odwiedzania fabryk, rzeźni, kostnic i kanałów miejskich. Widać w tych drobnomieszczańskich czasach były inne upodobania i rozrywki (nie było TV i kroniki politycznej). Dziś jednak nikt już o tym nie myśli, ogląda się rzeczy piękne i niepowtarzalne. Teraz przewodniki radzą, jak autostopem objechać kulę ziemską ze studolarówką w kieszeni. Na jutro planuje się regularne wybieżki na orbitę okołoziemską (globalizm w dosłownym tego słowa znaczeniu). Magellanem (protoplasta nowoczesnych turystów) będzie ten, kto postawi nogę na Marsie...

Wypadki są stałym elementem masowych migracji. Ofiarom należy się lampka pamięci. Jadących do Kenii, biura podróży przestrzegają przed głodnymi tubylcami, głodnymi lwami, zdenerwowanym słoniem, muchą tsetse, wirusem ebola. Ryzyko skończenia jako przekąska – 50%. Prawdopodobieństwo kraksy autokaru polskiego biura podróży jest jeszcze większe. Tak naprawdę żaden środek lokomocji nie jest bezpieczny, a o wypadkach decyduje często ślepy przypadek. Jednak gdyby ludzie tak czarno myśleli, to siedzieliby w domach, nie znając sąsiedniej ulicy. Czyżby więc za wszystkim stał zew przygody? Ryzykanctwo? Hazard? Niezaspokojona ciekawość?

S. Burszewski



BERTRAND RUSSELL – ANGIELSKI FILOZOF o wszechstronnych zainteresowaniach pisywał w latach międzywojennych krótkie teksty dla jednej z amerykańskich gazet. Teksty te zostały niedawno przetłumaczone i opublikowane w naszym kraju. W jednym z nich autor uzasadniał, zauważoną przez niego, powszechną sympatię dla niegrzecznych chłopców. Było to dla mnie uderzające, gdyż przez całe życie spotykałem się raczej z uznaniem dla grzeczności niż poparciem niesforności. Ileż to razy każde z nas słyszało: „dziewczynko, chłopczyku – bądźcie grzeczni!”. Powszechna akceptacja, szczególnie starszego pokolenia, dla osób postępujących zgodnie z tradycyjnie pojmowaną grzecznością wydawała mi się standardem niezależnym od uwarunkowań lokalnych, geograficznych, politycznych, etnicznych i jawiła się jako zasada globalna. Wydawało mi się, że ze swoją sympatią dla (cech związanych z dziecięcą niegrzecznością) ciekawości, eksponowania inności, poszukiwania „dziury w całym” jestem ewenementem i powinienem raczej to ukrywać niż w jakikolwiek sposób manifestować. Przeczytawszy tekst Russella zastanawiałem się, czy to z jego strony nie była prowokacja obyczajowa (przecież za swoje poglądy został usunięty z Cambridge i m.in. dlatego znalazł się w Ameryce). Jednak zawartość tekstu świadczyła, że zjawisko, o którym mowa, wydawało się być (przynajmniej w otoczeniu autora) powszechnie uznaną normą. Filozof uważał za godne podziwu i uznania dzieci, które nie zgadzały się z zastanym światem, wnikliwie go poznawały zauważając nielogiczne umowy międzyludzkie, które tylko z pozoru pozwalają wygodniej i „spokojniej” egzystować. Bunt przeciw normom ograniczającym wolność Russell uważał za najbardziej naturalny ludzki odruch. Widział w takiej postawie sól kultury i koło zamachowe cywilizacji. Czytając myśli Russella zastanawiałem się, co też się stało w naszym społeczeństwie, że przestaliśmy poszukiwać i doceniać poszukiwania. Przestaliśmy uśmiechać się do myśli, że nasze dzieci – te niesforne i stające oknem do wielu powszechnie przyjętych zasad – będą kiedyś tworzyć lepszy, choć z pewnością inny od naszego, świat. Skąd wręcz powszechna awersja do postaw akcentujących odmiennosć. Skąd zachowawczość i dążenie do przekonania wszystkich wokół o wyższości unifikacji nad indywidualizmem. Wydaje mi się, że to głęboko tkwiąca w wielu z nas (spotykam się z tym w sobie na każdym kroku) pozostałość po bardzo skutecznej propagandzie poprzedniego ustroju. Myś-

lenie o człowieku w kategoriach klasowych, myślenie o masach, a nie o niepowtarzalnych jednostkach, spustoszenia wynikłe z terminu „sprawiedliwość społeczna”, terminu, którego funkcjonowanie w świadomości wielu ludzi sprowadziło się do pojmowania państwa jako organu rozdawniczego (w myśl zasady – jesteś grzeczny to dostajesz nagrodę: pracę, szacunek i uznanie przełożonych) – to wszystko sprawiło, że grzeczność stała się tak cenioną wartością. Może ta, przerażająca dzisiaj, unifikacja i nauczanie jej dzieci była wynikiem, jak się wtedy wydawało, koniecznej dla przeżycia umiejętności maskowania? Smutne, że takie myślenie charakteryzuje wiele osób, które nawet nie mogą pamiętać PRL-u. Świadczy to o głębokości deformacji moralnych poczynionych w świadomości społecznej przez realso-cjalizm. Musimy od nowa uczyć się drugiego człowieka, otwartej rozmowy, szacunku dla odmienności, uczyć się siebie samych i traktowania siebie jako indywidualności, a nie tylko członka większej, ważniejszej całości – grupy społecznej, stowarzyszenia, partii, klik, koterii, bandy, mafii. Z pewnością członkostwo w wymienionych ugrupowaniach może być związane z sukcesem, większą skutecznością działania, lecz nie powinno być okupione grzecznością, oportunistycznym i nigdy, przenigdy stać się szkołą hipokryzji. Niestety w Polsce, w naszym grodzie ze szczególnym upodobaniem, grzeczność nazywa się poszanowaniem tradycji, autorytetów i wartości. Oportunizm bywa nazywany „traktowaniem życia z dystansem”, a hipokryzja (o zgrozo!) – lojalnością, bądź poczuciem odpowiedzialności za młodzież. Młodzież zaś to takie dziwne „ustroj-



Tomasz Rzepecki, litografia

stwo”, które dysponuje rentgenem w oczach i wszelkie przejawy oportunistów i hipokryzji dostrzega z daleka, a na dodatek (i na szczęście), w większości, nienawidzi tych zjawisk. Stąd (patrz: badania Instytutu Pedagogiki Społecznej WSP) powszechna niechęć młodzieży do miejscowego „życia kulturalnego”, w którym dominują postawy żywcem wyjęte z poprzedniej epoki. Stąd powszechna bezpowrotna emigracja nietuzinkowych osobowości, które na miejscu nie widzą żadnych szans na uczciwą i otwartą rozmowę.

Krytykuję sobie do woli, pozwalam na wiele, biję w wielkie dzwony, ale wiem też, że w większości wypadków oportunistów i hipokryzja nie biorą się same z siebie. Sam uległem kiedyś indoktrynacji i wiem jak ciężko, a czasem bezskutecznie człowiek walczy z podświadomymi odruchami. Odruchami, które przez wiele lat były gwarantami egzystencji w ogóle. Wiem jak trudno jest odsłonić swą prawdziwą twarz, kiedy przez lata chowało się ją ze względu na świadomość, że nasza inność nie ma szans na akceptację i może być przyczyną degradacji, egzystencjalnej i społecznej marginalizacji, a często wręcz prowadzić do utraty wolności. Wiem. Nie może to jednak usprawiedliwiać przekazywania młodzieży postaw związanych z poprzednią epoką. Dzisiaj żyjemy w wolnym kraju i możemy pokazywać swoje prawdziwe oblicza. Nie promujemy oportunistów i hipokryzji wśród młodzieży. Pokazujemy, że stać nas na docenienie osobowości. Uczmy, że poszukiwanie i manifestowanie swojej „inności” jest ważnym prawem człowieka. Wskazujemy, że dociekanie istoty naszej egzystencji stanowi w dużym stopniu sens życia. Przyznajmy się przed sobą i młodzieżą, że to, co cywilizacja wie o człowieku nie jest wiedzą ani pewną, ani pełną. Mówmy uczciwie, że przed młodymi wiele do zrobienia, poznania, odkrycia. Pokazujemy jak ważna w tym wszystkim jest miłość, a jak marne pieniądze. Nawet, kiedy wokół widzą, że aktualnie wśród ludzi ta hierarchia wygląda całkiem odwrotnie. Młodzi czują prawdę. Czują, że stan zastany to efekt koszmarnego zbiegu okoliczności w Częstochowie występujący ze szczególnym nasileniem. Nie wiedzą jak z niego wyjść, ale nie ukrywajmy tego, że my też nie wiemy. (Przepraszam – może tylko ja nie wiem, a jeśli tak jest to proszę mnie wyprowadzić z błędu). Skoro nie wiemy to spróbujmy pozwolić niezależnie myślącej młodzieży na większy udział w życiu naszego grodu. Wewnętrzne poczucie prawdy i czystość intencji – cechy cha-



Iwona Kręciwilk
„Wiadomość”

rakterystyczne dla wielu młodych ludzi – mogą wnieść dużo świeżości do życia kulturalnego naszego miasta. Może wreszcie egzystencja ludzi, dla których uczciwość i wrażliwość nie są pustymi terminami stanie się tutaj bardziej znośna. Wizja piękna, lecz, jak się wydaje, nieiziszczalna. Grobowe milczenie (wyjąwszy wakacyjny artykuł Krystiana Piwowarskiego, który miło skomentował moją dotychczasową pisaninę), jakie towarzyszy moim mniej lub bardziej prowokacyjnym wypowiedziom, raczej źle wróży niezależnym młodym w Częstochowie. Chociaż mimo wszystko wierzę w to Miasto.

PS. W tym miejscu powinienem napisać, w jakich latach B. Russell pisywał w Ameryce i dla jakiej gazety, kto i kiedy przetłumaczył jego prace na nasze i kto wydał. W dobrym tonie byłoby też napisać o źródle informacji, ale – bij zabij – nie pamiętam. Świadczy to o tym, że nigdy nie zostanę naukowcem, choć Czytelników bardzo szanuję. Z dużą dozą pewności można stwierdzić, że Bertrand Russell nie należy do zbyt często wydawanych u nas humanistów i jeśli ktoś spotkał się z przytaczaną przeze mnie pozycją to serdecznie proszę o informację na adres redakcji. Stawiam kawę.

PS. 2 Czasem, kiedy idę ulicami naszego miasta, wydaje mi się, że jakiś niewidzialny, ale za to „Wielki Brat” grozi mi palcem mówiąc: Kmieciak nie podskakuj – bądź grzeczny! Widzę ten palec w oczach wielu dobrze mi znanych osób. Słyszę ten głos w ustach wielu znajomych i przyjaciół. Wiem, że to głos autentycznej troski. Dziękuję Wszystkim tym, którzy mnie wspierają. Nie żartuję!

Z ostatniej chwili!

1. Zgadzam się z myślą Redaktora Naczelnego Krystiana Piwowarskiego dotyczącą sztuki. Ja też wierzę, że dobry warsztat to ważna cecha artysty i nigdy do zaniechania warsztatu nie zachęcałem i nie zachęcam. Nie twierdę też, że rzemieślnik to coś gorszego niż artysta. To po prostu inne powołanie i inne motywacje. Bardzo szanuję rzemieślników. Znam takich, którzy za nazwanie ich artystami niemal się obrażają (i nie jest to kokieteria!), bo się za takich nie uważają. Sam wielokrotnie dostaję zamówienia na czysto rzemieślnicze produkcje i czuję się wyróżniony, a nie spostonowany, kiedy artysta prosi mnie o rzemieślniczą pomoc przy znalezieniu odpowiedniej formy do jego osobistej wypowiedzi. Nie próbuję wtedy dyskutować o treściach i wpływać na przekaz artysty. Zadaniem producenta muzycznego jest pomoc rzemieślnicza. Tego się ode mnie oczekuje i kiedy mi się to udaje, jestem bardzo zadowolony i czuję, że się w tym, co zrobiłem całkiem niezłe zrealizowałem. To naprawdę piękne i pełne uczucie. Nie oczekuję, żeby z takiego powodu ktoś mnie nazywał artystą. Za to bardzo się cieszę, gdy artysta, z którym miałem przyjemność pracować, doceni moje rzemiosło.

2. Szanowny Czytelniku, wybac mi, że zwrócę się bezpośrednio do Redaktora Naczelnego. Przeczytałem z uwagą Pana wakacyjny artykuł „Aria na wiolonczelę z towarzyszeniem serdelka”. Dziękuję za wiele trafnych uwag, tylko ogólny minorowy nastrój trochę mnie zaniepokoił. Spieszę donieść, że właśnie się wybieram na I Międzynarodowy Festiwal Muzyki Akustycznej SIELOPA 2002, gdzie będę miał przyjemność zaakompaniować koleżance Agacie Ślęzyk (w końcu częstochowiance), która obok Tymona Tymańskiego (on również zagra akustycznie) będzie gościem imprezy. Później zagramy na imprezie pod nazwą Elbląskie Noce Teatru i Poezji, gdzie również spodziewamy się spotkać paru wrażliwych i potrafiących akustycznie wykonać bardzo ciekawe „kawałki” artystów. Zaś w ostatnich dniach sierpnia weźmiemy udział w imprezie poświęconej pamięci nieodżałowanego twórcy Piwnicy Pod Baranami Piotra Skrzyneckiego. Imprezie, która odbędzie się w... nie, nie w Krakowie, lecz w Ciechanowie w prywatnej siedzibie znanego częstochowskiej publiczności Wojtka Gęsickiego, który osobiście ufundował naturalnej wielkości pomnik Piotra i ustawił go na swej posesji. O ile mi wiadomo z pewnością spotkamy

tam kogoś z Piwnicznych artystów. Nie piszę tego dlatego, żeby pochwalić się „gdzie to my nie będziemy i w czym my to nie uczestniczymy”. Piszę to w kontekście Pana wypowiedzi: „*Tak, był szczęśny czas (...), kiedy na scenie występowali filozofowie, pieśniarze akustyczni, opowiadacze kontestujących dowcipów (...). Nie byłoby miło gdyby powrócił?*” Myślę, że teraz wyraźnie widać, że chciałem tylko spróbować wzbudzić w Panu trochę optymizmu. Ludzie, o których Pan pisze, jak widać, nie wyginęli. Może nie są w nadmiarze obecni w radiu i telewizji (i tu zgadzam się, żal wielki), ale jednak żyją i spotykają się ze spragnionymi „słowa, które znaczy” słuchaczami i widzami. Wszystkie powyższe imprezy są otwarte na takich ludzi i odbędą się nie gdzie indziej tylko w Polsce w sierpniu bieżącego roku. Mało kto o nich wie – prawda! Ale czy nam jest potrzebna reklama i media do tego, żeby porozmawiać o człowieku? Wszystkie te imprezy (a mógłbym ich listę mnożyć może nie w nieskończoność, lecz z pewnością ich liczba przerasta możliwości odwiedzenia wszystkich przez jednego człowieka) świadczą o tym, że są u nas normalni ludzie. Potrafią i chcą rozmawiać. Chcą się spotykać nie dlatego, żeby pochwalić się ostatnimi sukcesami frekwencyjnymi i kasowymi, lecz aby porozmawiać o człowieku, sztuce, teatrze, scenie, muzyce, współczesnej kulturze – rozmawiać otwarcie, odważnie i długo w noc. Tak jak było na dwudziestu kilku spotkaniach Sceny Błazen. Ja wierzę, że w Częstochowie jest to możliwe i to w niedalekiej przyszłości. Przecież chyba z taką nadzieją prowadzi Pan Aleje 3.

Zgadzam się też w każdym calu ze zdaniem: „*Narzekanie nie jest rozmową. Narzekanie jest mieleniem gorzkich żalów. Z narzekania nic nie wynika.*” Moja wypowiedź z numeru 39 o narzekaniach była, jak się można domyślać, żartem (choć z moim poczuciem humoru chyba nie jest najlepiej) i miała pokazać, że w wielu miejscach w kraju, tylko nie w Częstochowie, istnieją niezależne kluby środowisk kulturalnych, kluby żywe, otwarte na dyskusje, finansowane przez lokalne samorządy i mimo to usiłujące utrzymać niezależność artystyczną i bronić wolności poglądów spotykających się w nich artystów. Pukajmy do Rady Miasta, a nuż ktoś zauważy potrzebę zaistnienia **niezależnego** centrum kultury, które mogłoby się stać oazą i zacząłby środowiska. Może Radni i Urzędnicy, którzy zastępują w demokracji Księcia, o którym pisałem w poprzednim numerze nie obrażą się na nas. Musimy w nich wierzyć i rozmawiać z nimi, bo nie ma-

my innego wyjścia. W końcu to za pieniądze – nie ich własne, ale pozostające w ich dyspozycji – przypominam im tutaj i teraz o ich odpowiedzialności za kulturę, która – aby zasługiwać na duże „K” – **MUSI** pozostawać **poza** kontrolą polityków wszelkiej maści (i tych będących aktualnie przy władzy i tych będących aktualnie w opo-

cieli kleru w Częstochowie uważam za skończonych hipokrytów i oportunistów. Gdyby tak było, to nie strzępiłbym pióra, tylko wyjechał stąd gdzie pieprz rośnie. Jednak uważam, że (nie łączając siebie) do aniołów nam daleko!!! Młodzież dała nam to wyraźnie do zrozumienia (patrz wyniki w/w ankiety), choć nie wszyscy



Adam Patrzyk

zycji). Artysta (aby zasługiwać na swoje miano) nie może występować w swej pracy w imieniu jakiegokolwiek grupy, partii, kliki itp., bo przestanie być wiarygodny. Jeśli tego politycy nie rozumieją, to zawsze będą dążyć, aby artyści byli tylko dyspozycyjnymi trąbami propagandowymi ich ugrupowań, a w najlepszym razie, żeby wyraźnie opowiedzieli się „po której stronie barykady występują?” Ci, którzy nie chcą spełniać tych wymogów są zawsze podejrzewani o sympatyzowanie ze stroną przeciwną. Prawdziwi, niezależni artyści, których tak w Częstochowie potrzeba, widziani są przez polityków **WSZYSTKICH** ugrupowań jako sympatyzujący z przeciwnikiem, w dodatku Kościół uznaje ich za wysłanników szatana lub w najlepszym przypadku patrzy na nich jak na obiekty intensywnej pracy misyjnej. Z powyższego wychodzi, że artyści nie są przydatni nikomu i do niczego. Dlatego tak łatwo się ich pozbyć. Są zawsze samotni i niewygodni. Wyglądają na nieufnych wobec wszystkich i wszystkiego. W Częstochowie w mniejszym lub większym stopniu są zmuszani do bardzo dla nich niewygodnych kompromisów. Dla chleba.

Przy okazji oświadczam, że nie wszystkich urzędników, polityków, artystów i przedstawi-

usłyszeli. Dla młodzieży warto tu zostać, wbrew dobrym radom wielu znajomych doradzających mi emigrację.

Pozdrawiam Pana i wszystkich stałych i przypadkowych Czytelników. Zachęcam wszystkich do pisania listów dotyczących życia kulturalnego naszego miasta. Mogą się one stać zarzewiem tak potrzebnej tutaj rozmowy. Szkoda tylko, że raz na dwa miesiące.

Korzystając ze sposobności chciałbym donieść wszystkim uczestnikom spotkań Sceny Błazen, że dołożę starań, aby regularne spotkania wróciły do kalendarza imprez naszego miasta, chociaż nikt z profesjonalnie zajmujących się kulturą organizatorów nie zgodził się poprowadzić dalej tej imprezy. (Chyba mają zbyt wiele pracy z przygotowaniem poważnych, prestiżowych i profesjonalnych koncertów i festiwali.) Nie jestem organizatorem tylko artystą, dlatego z góry przepraszam za ewentualne potknięcia organizacyjne. Zapraszam chętnych do współpracy. Chciałbym, aby Scena Błazen pozostała miejscem spotkań, w którym szanuje się niezależne postawy, miejscem otwartej i odważnej rozmowy, azyłem dla ludzi wrażliwych, uczciwych artystów i spragnionych „słowa, które znaczą” widzów. A nuż się uda?

Duchowe ośrodki klasztorów

Szlakiem średniowiecznych bibliotek Austrii

Elżbieta Hurnikowa

AUSTRIA PRZED PAROMA LATY (W ROKU 1996) obchodziła tysiąclecie swojego istnienia. Była to okazja do przypomnienia historii – ważnych dat, etapów, postaci, a także historii kultury materialnej i duchowej. W publikacjach, jakie się wówczas ukazywały, na organizowanych licznie wystawach, wykładach i innych imprezach odbywających się pod hasłem „Tysiąc lat”, dokonywano różnego rodzaju syntez i podsumowań, które miały prezentować dorobek Austrii w różnych dziedzinach. Ujmowano je m.in. w takie tematy jak: „Ojczyznę jesteś wielkich synów”, „Ojczyznę jesteś wielkich córek”, „Kraina katedr” i inne.

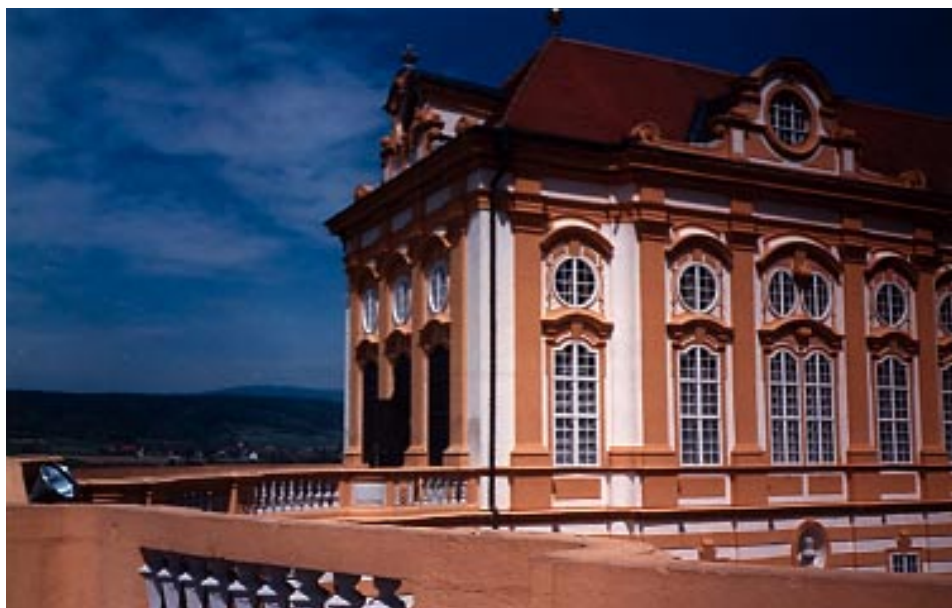
Do bogatej kultury duchowej Austrii należą niewątpliwie sięgające odległych wieków związki z katolicyzmem. Ich materialnym śladem jest duża liczba kościołów, klasztorów i innych obiektów sakralnych. „Land der Dome” (kraina katedr) to słowa, które znalazły się w austriackim hymnie państwowym. Nie bez powodu też Austria nazywana jest „krajem katolików”; dzisiaj przynależność do tej wiary deklaruje ponad 80% mieszkańców.

W maju tego roku miałam okazję zwiedzić część najstojniejszych klasztorów średniowiecznych i bibliotek przyklasztornych, które od dawna przyciągają zarówno pielgrzymów i turystów, jak studentów i naukowców. Brałam udział w wyjeździe szkoleniowym zorganizowanym przez Bibliotekę Śląską w Katowicach dla jej sympatyków i bibliotekarzy pod hasłem „Średniowieczne biblioteki przyklasztorne i najpiękniejsze sanktuaria Austrii”. Patronat merytoryczny sprawował dyrektor Biblioteki Śląskiej – pan prof. dr hab. Jan Malicki, a stroną organizacyjną zajęła się pani Józefina Rebeś z Działu Promocji. Wspominam o tych szczegółach, ponieważ to wkład pracy w przygotowanie jakiegokolwiek przedsięwzięcia decyduje o jego efektach. Zorganizowania tego nietypowego wyjazdu podjęło się katowickie biuro „Abraksas”, kierowane przez pana Dariusza Buszko, który zadbał o to, by w ciągu kilku dni uczestnicy mogli jak naj-

więcej zobaczyć i dowiedzieć się (m.in. od świetnie przygotowanej przewodniczki).

Warto też wspomnieć, że wjazd do Austrii poprzedził krótki pobyt w miejscowości położonej niedaleko granicy czesko-austriackiej, w Lednicach, rozświetlonych przez piękny pałac i imponujący kompleks parkowy. Nocleg zaplanowano w Czejkowicach, gdzie znajdują się znane piwnice Templariuszy. Tam biesiadowaliśmy, a gawędę-toast wygłosił prof. Jan Malicki, który jest Rektorem Akademii Wina. Biesiada nie znalazła się w programie wyjazdu przypadkowo; wszak kultura wina jest jednym z przejawów kultury życia. Austria, w której od czasów rzymskich uprawiano winorośl, znana jest ze swych świetnych win. Mniej wiadomo, przynajmniej u nas, jakie tradycje mają w tej dziedzinie Czesi.

Pierwszym miejscem, jakie zwiedzaliśmy na terenie Austrii, było opactwo benedyktynów w Melku w Dolnej Austrii, gdzie mieści się sławna biblioteka. Jest ono położone niezwykle malowniczo – na skale mierzącej około 40 m. Rozpociera się stąd piękny widok na Dunaj. Początki historii opactwa sięgają roku 1089, czasów Leopolda II z Babenbergu. Ponieważ Melk był jedną z wczesnych rezydencji dynastii Babenbergów i znajdowały się tu groby pięciu margrabiów, nazywany jest „kolebką Austrii”. Stąd w późnym średniowieczu (XV w.) brała początek reforma klasztoru benedyktynów (Melker Reform). W Melku żyli kronikarze, których nazwiska w części są nieznane. Zachowane kroniki z XII wieku stanowią ważne źródło poznania średniowiecznej historii Austrii. Biblioteka posiada bogate zbiory, liczące ok. 100 tysięcy woluminów. Z roku 1308 pochodzi pierwsza wzmianka o szkole klasztornej w Melku. W latach 1684-1893 działała tam (z przerwami) szkoła łaciny, kształcono też teologów; kwitły nauki humanistyczne i przyrodnicze. W latach 1778 i 1781 benedyktyni utworzyli szkołę podstawową i gimnazjum, w 1811 – konwikt. Wspólnota monastyczna w Melku liczy dziś około trzydziestu osób. W szkole uczy się około siedmiuset uczniów. Sys-



Wejście
do biblioteki
w Melku

tem nauki łączy tradycyjne formy z nowoczesnymi metodami.

Zwiedzając inne obiekty tego rodzaju, mogliśmy się przekonać, że większość klasztorów prowadziła różne rodzaje działalności. Wiązało się to z reformami, jakie wprowadził w wieku XVIII cesarz Józef II, syn Marii Teresy. Dążąc w wielu dziedzinach do prostoty i oszczędności, pragnął w tym duchu zreformować też życie religijne i liturgię. Walczył z pozostałościami monachizmu wschodniego, z zakonami kontemplacyjnymi. Działal według dewizy: „zakony, które nie służą swojemu bliźniemu, nie służą również Bogu”. Wydał zarządzenia (1782), według których utrzymano tylko te klasztory, które prowadziły szkoły i działalność naukową, zajmowały się pielęgnowaniem chorych. Rozwiązano natomiast zakony kartuzów, kamedułów, karmelitów, kapucynów i in.; specjalnie ustanowiona Komisja Wyznań zarządziła dobrami zasekwestrowanych zakonów.

Kompleks architektoniczny, jaki zachował się w Melku, reprezentuje styl barokowy. Z tym stylem spotkać się można w większości obiektów, czasem zachowały się starsze części, jeśli uszły cało z pożaru, wojny czy innych kataklizmów. Rozkwit sztuki barokowej przypadł na czasy, kiedy przywracano znaczenie Kościołowi Rzymskiemu, czemu towarzyszyły oznaki zewnętrzne; barok miał nadawać obiektom duchowy charakter. Najbardziej okazałe zaprezentował się on w architekturze kościelnej; świątynie wypełniano złotem i marmurem, przez co sprawiają wrażenie przeładowności, niepokoju. Obiektów barokowych jest tyle, że ironiści powiadają, iż

austriacka architektura kościelna została „zde-wastowana” przez barok.

Po opuszczeniu Melku zwiedziliśmy – w rekordowym tempie ze względu na brak czasu – zamek w Schallaburg oraz jedno z najpiękniejszych miasteczek w Dolnej Austrii – Krems, znane ze swoich win (jego atrakcją jest m.in. muzeum uprawy wina). Mieliśmy też okazję zobaczyć Mariazell (zatrzymaliśmy się tam na nocleg), gdzie znajduje się największe w Austrii centrum pielgrzymkowe. Jest to kompleks bardzo pięknie położony, ale o wiele mniejszy niż Jasna Góra, z którą czasem jest porównywany.



Opactwo benedyktynów
w Admont

Kolejnym celem naszej podróży było opactwo w Admont, w malowniczym, górzystym zakątku Styrii, gdzie znajduje się najstarszy w tym regionie klasztor męski, założony w roku 1074 przez arcybiskupa Eberharda z Salzburga. Od początku XII wieku siostry i bracia benedyktyni prowadzili w Admont szkołę pisania, łaciny i miniatury oraz szpital. W XIII wieku miejsce to stało się ważnym ośrodkiem politycznym, w XIV – kulturalnym. W czasie wojny chłopskiej w r. 1525 powstańcy splądrowali klasztor, który odbudowano dopiero w wieku XVIII. Wtedy wzniesiono budowle, które istnieją do dziś. Obecnie do



Wnętrze biblioteki w Admont

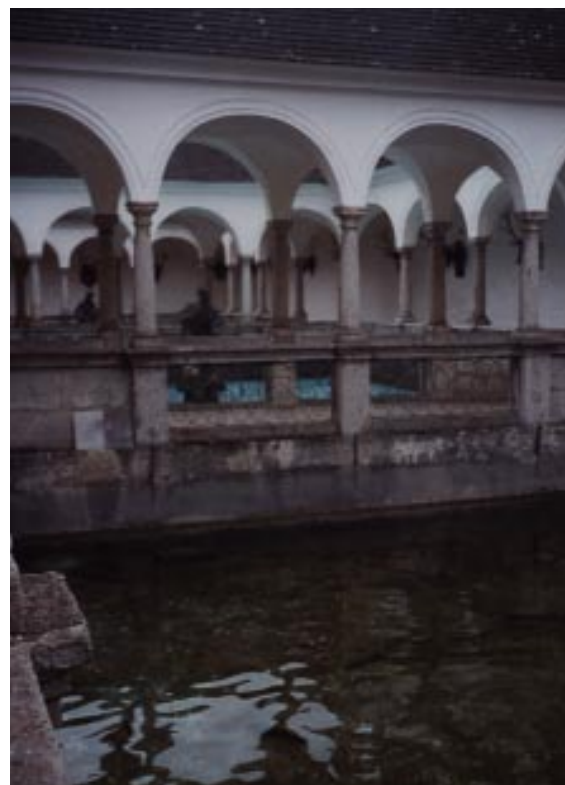
wspólnoty w Admont należy ponad dwudziestu mnichów. Prowadzą oni gospodarstwo rolne i leśne. Liczące osiem klas gimnazjum cieszy się opinią jednej z najbardziej nowoczesnych szkół.

Największą atrakcją Admont jest biblioteka, zbudowana według projektu Josepha Huebera, uważana za największą na świecie bibliotekę monastyczną. Jest to wnętrze, które zapiera dech (niestety, nie można go fotografować). Biblioteka liczy 150 tysięcy tomów, a księgozbiór wciąż się powiększa. Znajduje się w niej 140 tysięcy rękopisów (niektóre z VIII wieku), 900 inkunabułów. Wnętrze udekorowane jest freskami na sklepieniach, drewnianymi rzeźbami. Posiada czworo sekretnych, prowadzących na wyższy poziom biblioteki drzwi, maskowanych przez makiety półek z książkami. W roku 1865 w Admont miał miejsce pożar; spłonął wówczas kościół, natomiast biblioteka ocalała. Ze starszych zabytków jest też do obejrzenia dawna apteka. W Admont, podobnie jak w innych klasztorach, zaopatrzyć się można w wyrabiane w nich nalewki owocowe i ziołowe, konfitury i inne przetwory.

Przejeżdżając do opactwa cystersów w Schlierbach w Górnej Austrii, zwiedziliśmy położony w górach, w miejscowości Frauenstein kościół Madonny w Czarnym Płaszczu. Znajdują się w nim dwie figurki słynnej w tym regionie Madonny. Schlierbach to kolejny godzien uwagi obiekt (posiada także „swoją” Madonnę). W roku 1355 Eberhard V na malowniczym wzgórzu nad doliną założył opactwo żeńskie pod nazwą Mariensaal. W historii opactwa były trudne lata; przeżywało ono kryzysy ekonomiczne, brakowało powołań, w wyniku reformacji opustoszało. Dopiero w roku 1620, dzięki kilku cystersom, mnichom pochodzącym z Rein, nastąpił tu powrót do życia kontemplacyjnego. Mnisi odnowili też średniowieczne budowle. W roku 1674 zrekonstruowano kościół. Schlierbach jest dziś opactwem dynamicznym, słynie z rolnictwa, produkcji witraży artystycznych, wyrobu serów, których zapach (jeśli tak to można określić) towarzyszy zwiedzającym.

Biblioteka w Schlierbach, zachowana w równie dobrym stanie, jak wszystkie poprzednio przez nas widziane, zachwyca swoją architekturą, smukłymi kolumnami, cennymi ornamentami z kutego żelaza, perspektywicznymi freskami na sklepieniu.

Stawy rybne w opactwie benedyktynów w Kremsmuenster



Największe, najbardziej dostojne opactwo, leżące w Górnej Austrii, na stoku wzgórze, w miejscu, gdzie przechodził szlak z Wiednia do Salzburga, to Kremsmuenster, gdzie skupieni są benedyktyni kongregacji austriackiej. Obiekt ten przyciąga wzrok cebulastymi wieżami kościoła i obserwatorium astronomicznego. Opactwo założone zostało w roku 777 przez Tassilo III z Bawarii, w miejscu, gdzie jego syn, Guenther, został zraniony podczas polowania. W średniowieczu opactwo cieszyło się ogromnym prestiżem, m.in. dlatego, że istniało tu ważne scriptorium, w którym mnisi nauczali czytać i pisać. W XVII i XVIII wieku powstawały nowe zabudowania wg projektu Antonio Carlone'a i Jakoba Prandtauera. Dziełem Antonio Carlone'a jest też odrestaurowany kościół, zachowujący pierwotną konstrukcję oraz fascynujące, niezwykle piękne architektonicznie zbiorniki wodne z roku 1690; cztery baseny przeznaczone są na hodowlę różnych gatunków ryb.

Z XVIII wieku pochodzi m.in. sala cesarska i biblioteka, której sufit ozdobiony jest cennymi freskami i stiukami pędzla malarzy niemieckich i flamandzkich. Dla historyków literatury ważny jest fakt, że w opactwie kształcił się słynny pisarz Adalbert Stifter. Dzisiaj Kremsmuenster skupia osiemdziesięciu mnichów, nauczających w przyklasztornych szkołach. Od XIX wieku istnieje tu duże gimnazjum, do którego obecnie uczęszczają także dziewczęta. Opactwo prowadzi gospodarstwo rolne i leśne. Kremsmuenster powołało nowe fundacje monastyczne w krajach Trzeciego Świata.

Kończąc nasz pobyt w Górnej Austrii, zwiedziliśmy jeszcze opactwo augustynów w St. Florian, noszące imię jednego z najwcześniejszych męczenników. Szczęśliwy przypadek zrzędził, że wypadło to w dniu św. Floriana, toteż mogliśmy zaobserwować, jak obchodzi się w Austrii święto patrona strażaków (w miasteczku znajduje się muzeum straży pożarnej). Opactwo powstało w końcu VIII wieku; w X wieku wprowadzono tu regułę augustynów. W St. Florian – podobnie jak w innych opactwach – istniało scriptorium oraz szkoła malowania. Do dziś zachowały się budowle w stylu barokowym; kościół to dzieło Carlo Carlone'a i Prandtauera. Jednym z najbardziej znanych nauczycieli i organistów z St. Florian był kompozytor Anton Bruckner. Klasztor słynie w świecie dzięki ogromnej bibliotece, pięknej sali bibliotecznej i cennym zbiorom sztuki.

Szlak naszej podróży prowadził przez wybrane miejsca; ośrodków o podobnym znacze-



Wnętrze biblioteki w St. Florian

niu jest w Austrii więcej. Każdy z nich dowodzi, jak doskonale w materialny kształt wcielić się może przeżycie duchowe, na jakie wyżyny wznosiła się ludzka myśl i dążenie do doskonałości, ale też jednocześnie – jak te dążenia łącznie z praktycyzmem, z działalnością na rzecz ogółu, z różnymi dziedzinami życia doczesnego ■

Opactwo augustynów w St. Florian



Do napisania tego tekstu skłonił mnie udział częstochowiaków w telewizyjnych show. Nasze miasto też ma swój skromny udział w masowej rozrywce, w tym multimedialnym derby miast i wsi. Dużo już pisano o Big Brother, autorytety rwały sobie włosy z głów, a ludzie i tak to oglądali, nie zważając na lament nad upadkiem gustów i smaku społeczeństwa. Socjologowie wyjaśnili na sto sposobów dlaczego tak się działo i myślę, że nie trzeba już tego tłumaczyć. Prawdą jest, że wpływ na mentalność Polaków BB ma ogromny, a młode pokolenie będzie można wyróżnić tym, że ono już się wychowywało na BB. Terminy typu „jesteś nominowany”, „wielki brat”, „pokój zwierzeń” weszły na stałe do słownika potocznego i nie jest to zasługa Orwella. Bohaterowie BB są herosami masowej wyobraźni. BB to ogromny tryumf kiczowatej pop kultury nowej generacji, ale także i groźba na przyszłość sterowania społeczeństwem przez TV (np. przez wpajanie wzorów postaw). Chcąc nie chcąc TV wybija rytm

naszego życia: dzieci doskonale wiedzą, że o 19.00 jest dla nich dobranocka, a o 19.30 wiadomości. Jesteśmy od niej uzależnieni jak od narkotyku. Dla polityków ma znaczenie strategiczne. Większość puczów zaczyna się od opanowania stacji telewizyjnych. Wrogowie TV mówią: „telewizja kłamie i oślepia”, po czym kontrkulturowym gestem wyrzucają odbiornik za okno. Chyba nie zdają sobie sprawy, że sama TV ma bardzo groźną konkurencję w postaci sieci internetowej, która potrafi jeszcze bardziej uzależnić ludzi od siebie. Nie wiem co gorsze, ale wniosek jest jeden: handel jednostkami informacji i ich przepływem jest chyba najważniejszym znakiem XXI wieku. Jakkolwiek filmy powstałe na bazie BB to chała nawet w opinii ich reżysera Jerzego Gruzy (całe rodziny na nie waliły do kin), wywiady-rzeki w postaci książek są infantylne, to dziennik fikcyjnego uczestnika może być dla autora pretekstem do niezobowiązującej zabawy literackiej, bez żadnych szkodliwych następstw.

Iwona Kręciwillk
„Farbowanie”



Siedzimy w zamkniętym pudełku i tak mija nam czas. Trochę nas gonia, jakieś zawody, konkurencje, a wieczorem debatujemy przy mineralnej, gryziemy krakersy, patrząc na swoje twarze pokerzystów. Za ścianką siedzą operatorzy i przez kamerę obserwują, jak się kapiemy, złatwiamy swoje intymne potrzeby, trochę obgadujemy. Nieźle się bawią, czasami słysząc ich rubaszny śmiech. Co jakiś czas monstrualny głosniczym Jahwe na Górze Synaj mówi co wolno, a co nie, karci za byle gest, nagradza za pochlebstwo. Ci, którzy nas oglądają, obstawiają na swoich komórkach nasze losy, jak faworyty na dworze księcia pana.

(reklama serka Danone)

Trzeba się pokazać, żeby czymś zaimponować i żeby widzowie zapamiętali, kto to jest. Nie można być szarym, anonimowym obywatelem w znoszonej jesionce z aktówką pod pachą. Dominuje papuzia krzykliwość i stroszenie pawich piór. Dominujący osobnik jest wykluczany ze stada w tajnym głosowaniu skorupkowym. Trafiają się tu różne elementy: kryminaliści, psychiczni, dresiarze. Łączy ich jedna wspólna myśl – wszyscy chcą zagrać w reklamie i przeżyć swoje pięć minut sławy, tak aby znajomi z bloku kłaniali się im na odległość, a tłumek na przystanku mówił „to ten”. Każdy jest totalnym przeciętniakiem, ale impulsy mogą zrobić z niego gwiazdę na miarę Syriusza.

(reklama podpasek Always Ultra)

Taki królik doświadczalny Britney celebryce teraz wyciskanie pryszczycy i chyba zdaje sobie sprawę, że w tej chwili kilka milionów osób ogląda jej paskudną skórę w dużym zbliżeniu, odkładając na bok inne domowe zajęcia. Dzidzi ćwiczy mięśnie, wykonując rytmiczne pompki, żeby kilkaset tysięcy maturzystów odłożyło na moment ściągę i podziwiała jego nieco sflaczały biceps. Mógłbym sobie uciąć ucho przy goleniu. Ten fragment powtarzano by w nieskończoność na powtórkach, ale po co powtarzać gesty, które ktoś kiedyś przede mną wymyślił. Podobnie jak uderzenie pogrzebaczem w głowę marudnego współdomownika.

(reklama Marsa)

Siedzimy tak sobie w jakuzi po wygranych zawodach w skakaniu na linie. Popijamy szam-

pana. Wszyscy w białej, bo ten program oglądają nastolatki nieprzywykłe do golizny, przynajmniej z założenia. Nacieramy się pianą, puszczamy bąbelki pod wodą. Dzidzi największe te bąki produkuje, witane raz po raz salwą śmiechu. Ale nam wesoło! Sterydy w połączeniu z alkoholem dają dziwne efekty. Jego akurat rozdyma. Ciężka atmosfera będzie w sypialni. Przytulamy się poufale, żeby nie czuć się samotnym. Za ekranem żony przygotowały już rozwoły. Taplamy się tak jak te żółwie błotne, podgrzewamy wodę, popadamy w rozkoszny błogostan.

(reklama armatury łazienkowej)

Mam nadzieję, że nie ja. Dobrze punktowałem w tym tygodniu, moje relacje z grupą są pozytywne, jestem interaktywny, udzielam się w rozwiązywaniu problemów i zażegnaniu potencjalnych konfliktów. Akceptowalność mojej osoby jest na bezpiecznym poziomie. Ktoś śpiewa góralskie melodie, ktoś się cichcem dobiera do lodówki, która jest prawie pusta. Rano będziemy szukać ostatniej parówki. Leżymy wśród bąbelków i rozmawiamy o niczym. Wszyscy na coś czekamy. Zarwałem studia dla tej audycji, inni zaryzykowali karierę zawodową. Niektórzy nie mieli nic do stracenia. Wygrzebali się niemal ze śmietnika. W reżyserce popijają chyba wódeczkę, bo słysząc głośne rozmowy naszych kontrolerów.

(reklama kawy Jacobs)

Nagle zrobiło się bardzo gorąco i momentalnie wszystko zaczęło parować. Byłoby jak w saunie, gdyby nie fakt, że my również zmieniliśmy stan skupienia. Po kilku sekundach byłem już tylko obłokiem pary wodnej i kilku aminokwasów. Rozpoczęła się wojna na Bliskim Wschodzie i Arafat ostrzegawczo wystrzelił bomby neutronowe na wszystkie stolice świata. Taki kamikadze. Zakończył się nasz serial i nikt z widzów nie zagłosuje więcej na outsidera odstającego od grupy. Żaden nie poczuje się już anonimowym bogiem z pilotem w ręku. To także koniec satelitarnej TV, rodzinnych biesiad przed szklanym pudłem, to koniec świata. Nie trzeba już płacić abonamentu za kablówkę. Nie będzie miał kto oglądać reklam paty do zębów. Nikt nie sięgnie po nowe wspaniałe chipsy. Czy dobrze się bawiliśmy?

S. Burszewski

BALLADA O CHŁOPAKACH

Gott Anonim

Zaśpiewam wam pieśń
O księżnicy „U Chłopaków”
Co legła pokotem
Jak gospodarka Argentyny

Całymi dniami
Pracowali w mozole
By po wypłacie
Zasiąść za stołem

Było ich kilku
Każden mistrz w swoim dziale
Obracali literaturą
Jak świeżymi jajkami

I Robert co czytał
„Przegląd Sportowy”
By wiedzieć zawsze
Kto strzelił gole

I drugi Robert
Co ceny mówił z pamięci
Znał każdy tytuł
I ile co ma kartek

I nagle ich statek
Zatonął z kretesem
Jacenty stracił fortunę
Co komunie odebrał po dziadku

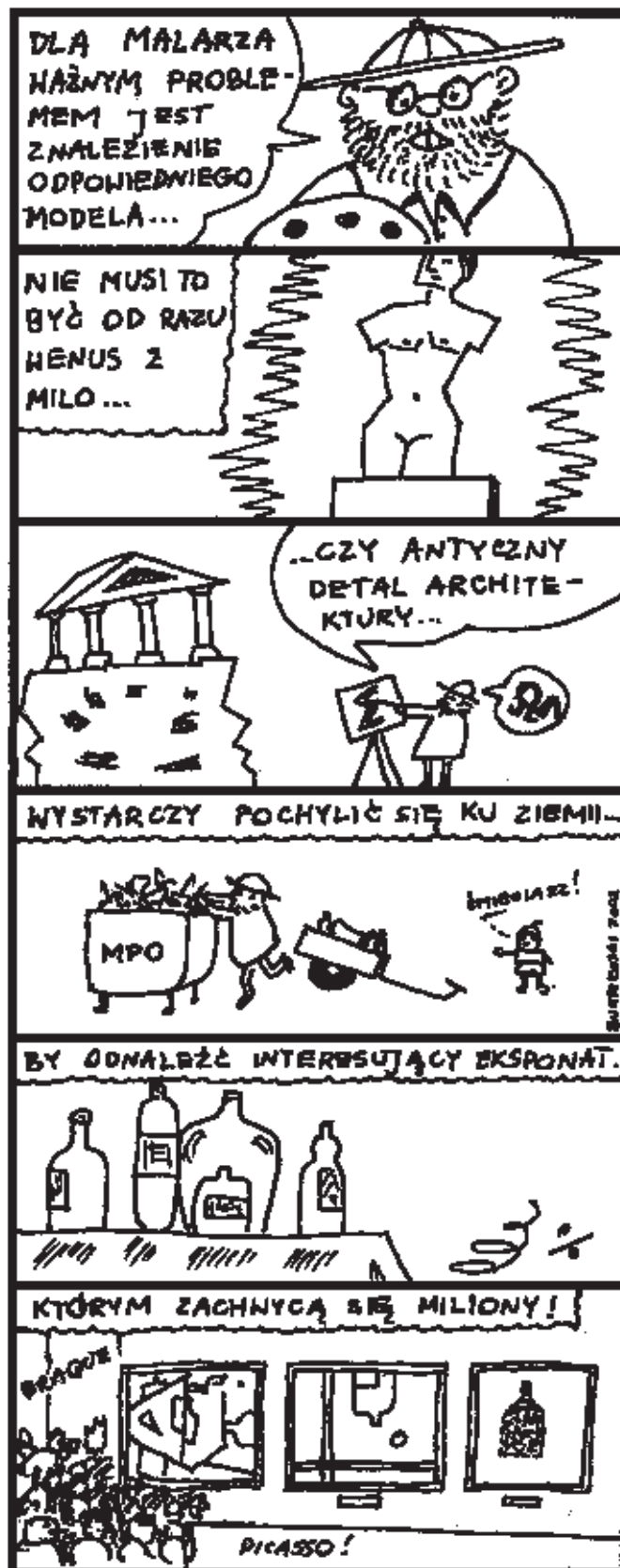
Za długi poszli
Do Żyda pod młotek
Całen majątek przepadł
Jak pożyczki w totolotek

I pełne ich magazyny
Porośnięte grzybem
Inwentarz ludzki
Półki i witryny...

Po cóż kupowali
Następne lokale?
Zysku nic nie dały
Do kogo słać żale?

Bo rynek jest malutki
Coraz mniejszy jakby
Mikremu nie staje
Chleba przy wielgim

Kapitaliście z kiesą
Co wszytek zgarnie
Wielkaż to strata kulturze -
I policzek dobremu smaku!

MALARZ ARTYSTA GRAFIK

Marcin Rumiński

Za sto dolarów Pieniądze, benzyna i papierosy

Ze względu na skromną objętość naszego pisma drukujemy tylko fragment najnowszego opowiadania Marcina Rumińskiego, a może też ze względu na drastyczne sceny, jakie mają miejsce w jego dalszej części. Rumiński, pomimo przeniesienia akcji na kresy wschodnie, nie zmienił swojego stylu pisarskiego i napisał historię gangsterską z wątków, które miały swój pierwowzór w rzeczywistości. Tę historię usłyszał od kogoś – jak mówi – nie musiał jej wymyślać. I może dlatego robi wrażenie. (SB)

– Należało mu się.
Podskoczył.
– Stój! Stul pysk! Cofnij się!
Wykonałem rozkaz. Opuściłem wzrok. Cisza, a później kroki. Zbliżył się.
– Co ty możesz wiedzieć?
– Wiem – odpowiedziałem nie podnosząc głowy. – U was się tego nauczyłem. Należało mu się.
Przez chwilę myślałem, że zrobi coś głupiego, ale pochylił się tylko i czarne oczy przestrzeiliły mnie na wylot.
– U was? Znaczy gdzie?
– U was. Jeszcze przed powstaniem.
Twarzy nie było widać, ale oczy jakby tajały.
– A coś ty tam robił?
– Brat u was elektrownię stawiał. Pojechałem odwiedzić.
– I co?
Opuściłem nieco rękę.
– Kłopot miałem jak i tu. Za ruskiego mnie mieli. Ale jak wasi dowiedzieli się, że my z Polski... O, Boże. Całe noce przegadaliśmy. „U każdego broń” – mówili. – „Nam góry pomogą. Wygramy wolność, tak jak wy”. I o ojczyźnie, o rodzinie. „Ojczyzna jak matka” – mówili. Tak... Jak on tylko to powiedział... To wiedziałem co zrobicie. I dobrze.

Patrzył uważnie. Nic nie mówił dłuższy czas, aż na powrót zaczął się strach. Wreszcie rzucił głowę.

– Ty to co, jakiś poeta jesteś, czy jak? Dziwnie tak gadasz.

– Literat. Książki piszę i scenariusze. Wierszy nie.

– A co to za różnica? – powiedział przeciągle i znowu się we mnie wpatrzył. Tęczówki miał ciemno brązowe, prawie czarne. Białka przekrwione. Skórę wokół oczu ciemną. Byłem pewien, że brwi ma szerokie, łączące się u nasady nosa. Ale tego nie mogłem już widzieć. Odwrócił głowę i splunął.

– A tamten ma szczęście, że od razu kulki nie dostał. Jak on tam?

Odwróciłem się. Autokar zarył w wilgotnej ściółce. Przechylił się na bok. Przestrzelone opony zwisały z felg. Otwarte bagażniki wyglądały jak rozpruty brzuch, a porozrzucane bagaże, jak wy-

prute flaki. Pasażerowie siedzieli karnie ze wzrokiem wbitym w przestrzeń. Bali się nawet spojrzeć.

Tylko on. On jeden. Skinął mi głową. Zatoczył palcem koło, wokół opuchniętych ust. Wskazał wzrokiem za moje plecy.

Opuściłem wzrok. Podszedłem. Niestety, mikserem. Obok, w igliwiu, wgniecione w ziemię, leżały jego zęby. Dotknąłem jego ramienia.

– Żyjesz?

Z nosa, w rytm płytkiego, urywanego oddechu, pęczniała i nikła bańka krwi. Odwróciłem się.

– Żyje.

*

Wsiadłem do tego autobusu, bo się połaszczyłem na 10 złotych. Taka była różnica między autokarem kursowym, a tym rzęchem. W kursowym były rozkładane fotele – których się nie rozkłada, bo się gniece tych z tyłu, był automat do napoi, z którego nie umieją korzystać nawet kierowcy i było video z filmami z ubiegłego stulecia. Za 10 złotych kupiłem trzy Heveliusze i wsiadłem do tego bez wygód.

Kierowca mówił jak rasowy Kargul albo Pawlak. Za jego plecami była blacha z palmami w tle cycków Pamelii Anderson. Zajechało egzotyka.

W środku sami Rosjanie i Białorusini. Pełno brezentowych toreb w „ruską kratę”, zaoranych na twarzy facetów z łapami jak obcęgi oraz młodszych i starszych babuszek.

Rzeczywiście wszystkie bez względu na wiek wyglądają na babuszki. Mogą być, co zrozumiałe, stu albo pięćdziesięcioletnie babuszki, ale mogą też być babuszki, które mają trzydzieści lat, a nawet (o zgrozo!) dwudziestoletnie babuszki. Babuszka to babuszka, bez względu na wiek. Te starsze są bardziej pomarszczone i zgarbione, te młodsze mniej, ale wszystkie łączy wspólna babuszkowość.

Poszedłem na sam tył. Ta, obok której siadłem była w mocno zaawansowanym stadium babuszkowości. Jedynek miała ze złota. Błysnęła mi nimi uprzejmie, kiedy spytałem czy wolne.

Kierowca zatrzasnął drzwi. Przekręcił kłuczyk w stacyjce. Z upiornym zgrzytem wrzucił jedynekę. Dodał gazu i... silnik zgasł. Babuszki

zaczęły ścisnąć tobołki, komentować stan rzeczy i wyglądać przez przejście. Przypominały kury zaniepokojone widokiem lisa. Nawet mówiły tak trochę podobnie: „ko, ko, ko, ko.”

Dwa siedzenia po mojej prawej były zawalone torbami. Należały chyba do faceta, który zajmował fotel po przekątnej z przodu. Facet odwrócił się i rzucił na mnie okiem. Udałem, że nie widzę. Zasłonił się i sięgnął do torby pod nogami. Łypnąłem. Zerknął do środka, dotknął tam czegoś, zasunął zamek, wsunął ją pod fotel, a w ucho włożył stopę. Z kieszeni wyjął piwo, otworzył je, upił trzy długie łyki, odetchnął, ręce splótł na piersiach, umościł się w fotelu i zamknął oczy. W torbie miał broń.

Trzej faceci na samym tyle mieli już nieźle w czubie. Brzęczeli butelkami, wznosili toasty i śmiali się gromko.

Kierowcy się udało. Babuszki opadły na fotele i kiwały głowami na „tak”. Ruszyliśmy. Za oknem stało trzech facetów w skórzanych kurtkach i spodniach od dresu. Wydało mi się, że ten najstarszy, ojciec chyba, skinął mi głową.

Wyjechaliśmy z dworca. Minęliśmy kilka odmalowanych kamieniczek w centrum, kilka świetlistych wystaw, pomnik Ojca Narodu obrwany przez gołębie, a potem wjechaliśmy w długie, szare ulice. Autobus skakał na kocich łbach. Mijaliśmy albo rdzawe fiaty, polonezy i maluchy, albo metaliczne „beemy” i „merce”. Jakby pośrodku nic nie produkowali. Miasto skończyło się za ostatnią chałupą. Zaczęły się przedmieścia i domy z basenami, a na podjazdach „merce” i „beemki”. Potem był las. Na poboczu kurwy na przemian z grzybiarzami. Doskonała symbioza przy szosie żywicielce.

Tyłkiem uformowałem pakuły pod tapicerką fotela. Oparłem się wygodnie i wyjąłem piwo z plecaka. Otwarłem. Heveliusz syknął spod kapsla. Babuszka rzuciła okiem. Podniosłem butelkę w jej stronę. Wzdrygnęła się jakby to był diabeł jakiś.

– Niet, spasiba.

Upiłem długi łyk. Dobrze. Chociaż mogło być chłodniejsze. Gapiłem się na cycki Pameli. Kątem oka widziałem, że Babuszka gapi się na mnie. Taki międzynarodowy łańcuszek ciekawości. Chętnie porozmawiałbym z Pamelą, no ale cóż... Chociaż nie, z Pamelą mógłbym milczeć.

– Ja do Grodna. A wy? – zagadałem wreszcie.

– Ooo... – wypuściła z siebie Babuszka, przyłapaną na spojrzaniu – hen, hen.

– Daleko? – upewniłem się.

Pokiwała głową.

– Ile kilometrów?

Zaczęła nabierać powietrza w płuca. Wielką miała pojemność. Na oczy rzucił mi się widok Babuszki na tle palm. Odeгнаłem go czym prędzej. Nabrała powietrza, podniosła ramiona i brwi.

– Nie zliczysz.

– Aha.

Milczeliśmy chwilę kiwając ze zrozumieniem głowami. Upiłem łyczek.

– A kiedy dojedziecie? – zapytałem.

– Za dwa tygodnie. Jak Boch da.

– W interesach?

Wydęła wargi i skrzywiła głowę. Wskazała brodą na pasażerów.

– Jak wszyscy.

Popatrzyłem na autobus i dopiero teraz pojąłem, że w tych twarzach są rysy ludów całej Azji – od Mongolii po Uzbekistan – od Jakucji po Krym. Nowożytna wędrówka ludów. Saniami do wiosek, ciężarówkami do miast, koleją do stolicy.

Przy kasach dworca Babel kolejki mierzy się w dniach. Ceny biletów u koników mierzy się w dolarach. To najlepszy interes na dworcu. Na peronach rozbija się obozy. Wioski ludzi złączonych ziemią leżącą trzy, pięć albo siedem tysięcy kilometrów dalej, złączonych bogactwem tej ziemi: złotem, futrem, wódką, kawiosem albo nędzą tej ziemi czy myślą o lepszym.

Tam gdzie rozkładają maty i biją pokłony, odjedzie pociąg do Taszkientu. Tam gdzie oczy szerokie i skośnie pod futrzaną czapą, odjedzie pociąg do Alma Aty. Tam gdzie piją ciężkie, palone wino, odjedzie pociąg na Krym. Nie trzeba znać rozkładu jazdy, trzeba znać swoje miejsce. I czekać, czekać, czekać. Czas dużo ma czasu o wschodzie.

– Dwa tygodnie – zamyśliłem się. – Daleko.

– Matuszka Rasija już nie karmi. Za chlebem jeździć trzeba.

– Do Polski? Za chlebem to do Ameryki, czy tam gdzie...

– Jeżdżą, ale do Polski bliżej. „Moria nie pieriepluń, a na zapadzie był.”

– Jak wy to mówicie? Kura nie ptica...

– Polska nie zagranica. Nu da, ale dwa tygodnie jechać trzeba.

– A tam u was jak?

Oczy zaświeciły niezdrowym, gorączkowym blaskiem.

– Ciężko. Mąż trzydzieści lat na fabryce noktowizierów rabotał. Pięć lat przed emeryturą go zwolnili. Pół fabryki zwolnili! Jak można ludzi na bruk wyrzucać? Każdy z nich żonę ma, dzieci, ro-

dzinę. Pół miasta bez pracy chodzi. Oszaleć można. Trzydzieści lat się opłacało, a teraz nie? Ja tego nie rozumiem. Mnie to się w głowie nie mieści. Ja już u lekarza nawet była.

Nadęła się. Patrzyła na mnie żarliwie. Oczekiwała potwierdzenia. Przytaknąłem.

– A mąż, co teraz robi?

– Co robi? Pije! Córka za gamonia wyszła. Zamiast pracę sobie znaleźć to za malarstwo się wziął. Brzuch jej zrobił i portrety maluje. Uch... wciornosti. Syn, na wojnie, uch...

Skrzywiła się. Złapała za brzuch. Twarz ściała jej ból. „Wrzody” – pomyślałem. Nerwowo sięgnęła do torby. Wyszarpnęła jakiś woreczek. Rozsupłała go i wyjęła szklaną fiolkę bez etykiety. Wyrząsnęła pastylkę na dłoń. Wrzuciła do ust. Chwilę pracowała grdyką, ale pastylka utknęła w gardle. Wydęła wargi i błagalnie spojrzała na Heveliusza.

Podąłem jej butelkę. Przystawiła szyjkę do ust i zaczęła pić. Piła długo, przeciągle, do dna. Otarła usta wierzchem dłoni, spojrzała na puste szkło i oddała butelkę z mieszaniną wstydu i ulgi. Włożyłem ją do plecaka udając, że nic się nie stało. Wyciągnąłem następne.

– Podobne chociaż? – zapytałem.

– Co? – wychrypiała.

– Te portrety.

– Wcale podobne, to przyznać trzeba.

Zamyśliła się. Odwróciła głowę. Patrzyła na pobocze rozświetlone reflektorami autobusu. Zawiesiła się kobicina. Ja się nie dziwię. Heveliusz to nie przelewki.

– Mnie się nie wolno denerwować – ocknęła się po kilku kilometrach. – Zdrzemnę się. Jutro cały dzień w drodze.

– Śpijcie – przytaknąłem – Ja się jeszcze piwa napiję.

Spojrzała na butelkę z respektem. Ruszyła tyłkiem moszcząc róg fotela i zamknęła oczy. Znieruchomiała.

Wjechaliśmy w puszcę. Kierowca wrzucił najwyższy bieg. Pędziliśmy gładko jakieś siedemdziesiąt na godzinę. Babuszki przycichły. Gdzieś niedaleko słychać było chrapanie. Facet otwierał oko tylko wtedy, gdy kierowcy wypadał bieg. Stopę trzymał w uchu torebki. Ja dopijałem Heveliusza. Trzej z tyłu kleli ile wlezie, ale bez przekonania. Zapadał zmierzch.

*

Jechałem do Białorusi. Znajomy robił tam ołtarz w polskiej parafii i zaproponował przejazd. Musiałem tylko dojechać. Nocleg, wyżywienie i przewodnik na miejscu – gratis. Nigdy

nie puszczałem takich okazji. „Owsiki w dupie” – tak mówiła moja matka. Faktycznie, na miejscu długo nie usiedzę. Białoruś zapowiadała się ciekawie, bo właściwie o Białorusi niewiele wiadomo. Macie jakiegoś znajomego, który tam spędzałby urlop? Pokazywali wam zdjęcia z wczasów na jakiejś nudnej imprezie? Chwalił się ktoś, że spotkał fajnych ludzi z Białorusi?

No właśnie. Wiadomo tylko, że bieda, Łukaszenka i tyle. Aż za dużo, żeby rozbudzić wyobraźnię. Dlatego pojechałem. Przez nadmiar wyobrażeń. W głowie miałem obrazki. Trochę z Londona, trochę z James'a Bond'a. Ja w roli podróżnika przemierzającego totalitarny kraj za kurtyną z żelaza. Drugą po Kubie ostoję komunizmu na świecie. Wyobrażałem sobie, jak cofam się w czasie do zeszłego stulecia, gdy w Polsce ponoć nie było nic w sklepach. Aż się nie chce wierzyć. Czasami zastanawiam się czy to nie mistyfikacja. Jechałem sprawdzić, czy to w ogóle możliwe. Przygotowałem się jak na survival. Ciepłe rzeczy, konserwy (na wypadek gdyby to była prawda), śpiwór, kuchenka gazowa, mapa, kompas, nóż.

Do Warszawki pociągiem. Z Warszawki do Białegostoku pociągiem. Z Białegostoku do Grodna autobusem. Tym autobusem. A mówił: „Tym nie jedź”. Mówił. Przy kasie mi to wyśpiewał tym charakterystycznym wschodnim zaśpiewem. Podeszedł jak do swojego, jak w dym. Rozparł się na blacie kasy i wpatrzył we mnie z pewnym, beczelnym uśmiechem.

– Do Grodna proszę – powiedziałem próbując go zignorować.

– Kursowy czy zwykły?

– A ile zwykły kosztuje?

– Piętnaście.

– A kursowy?

– Trzydzieści.

– Zwykły proszę.

Zdjąłem plecak i zacząłem w nim grzebać. Czułem, że na mnie patrzy.

– Dwa złote, panie Prezesie.

– Nie.

– Ale panie Prezesie ja nie na chleb potrzebuję. Nie na chleb. Znalazłem portfel. Zaciągnąłem sznurki na plecaku. Wyprostowałem się.

– A na co?

Wyczekał mnie. Wpatrzył mi się w oczy, jakby sprawdzał czy pojmę to, co ma do powiedzenia. Wzrok miał skupiony. Poważny.

– Na co? – powtórzyłem.

Podniósł butelkę.

– Na samodestrukcję.

Uśmiechnąłem się.

– Na samodestrukcję, to ja chętnie, ale sam potrzebuję.

– Odwdzięczę się.

Kiwnąłem głową z niedowierzaniem. Odliczyłem piętnaście złotych i podałem kasjerce.

– Tajemnicę znam. Co może Prezesowi życie uratować. Tu nie ma się co śmiać. To szczerza prawda.

– Szczerza prawda za dwa złote. Co wy, panie, Cyganka jesteście?

– Nie Prezesie, ale stąd jestem i oczy mam otwarte. A wy tu pierwszy raz chyba, co?

– Może i pierwszy.

– Pierwszy. Dlatego nie wiecie.

– Czego?

– Dwa złote. Na destrukcję.

– Aleście zamotali. Dobra – położyłem dwójkę na blacie. – Co to za tajemnica?

– Zwykłym nie jedź.

To wszystko. Trzy słowa. Sześćset sześćdziesiąt sześć groszy za słowo. Zajechało siarką.

– Czemu?

– Ruskie się gryzą między sobą.

– Gryzą się?

– Ta...

Spojrzałem na kasjerkę. Wzruszyła ramionami. Podała mi bilet.

– Ja tam nic nie wiem – powiedziała.

– Jak to się gryzą?

– Normalnie. Grr. Grrr... Am. Ammm.

Aż mnie odrzuciło. Miał facet plastyczną twarz. Zobaczył, że mnie przestraszył i zaniósł się śmiechem. Podrzucił dwuzłotówkę. Mrugnął do mnie okiem. Odwrócił się. Patrzyłem jak odchodzi. Ktoś szturchnął mnie w ramię. Odsunąłem się.

– Trzy na kursowy – dobiegło mnie z tyłu.

*

Zapał zmierzch. Dopilem Heveliusza i odstawiłem butelkę. Facet z prawej poruszał stopą. Z tyłu klęto już tylko dwóch. Babuszka schyliła główkę i zaczęła chrapać. Popatrzyłem na nią. Mogła mieć z pięćdziesiąt lat. Miała spracowane dłonie, szerniały na stawach i wokół paznokci. Gruba obrączka z czerwonego „ruskiego” złota ściemniała, jakby nawet szlachetny metal ugiął się pod tym, przez co przeszła.

Przed oczami stanął mi widok wielkiego mieszkania, podzielonego na kwaterek klity. Za obdrapanymi drzwiami, na niepełnych czterdziestu metrach: ona – pierze, gotuje, sprząta, zarabia, mąż, co stracił robotę i pije, córka w szóstym miesiącu ciąży i jej narzeczony, artysta-gamoń.

Babuszka-matuszka uśmiechnęła się przez sen. Wyglądała słodko, prawie jak z kapitalistycznej reklamy. To jej droga powrotna. Pewnie już po wszystkim: po pożyczce na zakup spirytusu, po przelewaniu w gumowe worki, po opłaceniu kierowcy autokaru, po rozkręcaniu, po wciskaniu worków w szkielet pojazdu, po skręcaniu na powrót, po szczęśliwym przejeździe przez granicę. Już po wstydzie i upokorzeniu, że celnik mimo że nic nie znalazł, to traktował jak złodzieja. Udało się – już po wszystkim. Ma pieniądze na ślub córki. Na łapówkę w szpitalu. Na łóżeczko dla wnuka. Na wynajem. Żeby mieli lepiej. Żeby skórę mieli miękką, a obrączki jasne.

Wszystkie matki są takie same. Aż miałem ochotę ucałować ją w rękę. Z kącika uśmiechniętych ust, puściła się Babuszce niteczka śliny. Dałem spokój z czułościami.

*

Chrapał cały autobus. Facet po prawej udawał. Z trzech z tyłu, klął już tylko jeden. Była noc.

Światła autobusu rozświetlały pustą jezdnię i wycinek lasu. Jakbyśmy jechali przez tunel. Ruch był żaden. Kierowca sprawnie wrzucał wypadający bieg i jarał szluga za szlugiem. Piłem trzeciego Heveliusza i coraz bardziej podobała mi się monotonia silnika, chrapania i świateł. Zastłuchałem się i zapatrzyłem. Czas wygiął się i rozciągnął. Już miałem złożyć łeb na piersi Morfeusza, kiedy coś przestało grać w światłach. Czerń jezdni z boku rozblęta i okazało się, że tam też jest asfalt i pobocze, a za rowem też jest las. Patrzyłem na to zjawisko, póki kadru nie zasłonił mi samochód. Zwolnił i jechał równo, zasłaniając widok do połowy. Szyba od pasażera zsunęła się w dół. Spojrzał na mnie jakiś potwór. Przetrzeźwiałem. To nie była miła twarz. Popatrzył po numerach bocznych autobusu, powiedział coś do kierowcy i samochód skoczył do przodu. Tuż przed tym jak zniknął mi z oczu, zobaczyłem, że zakłada kominiarkę. (...)

ZAGLĄDAJ NA STRONY SERWISU INTERNETOWEGO „ALEJ 3”:

<http://www.alej3.now.pl>

Wymiana myśli w Księdze Gości naszego serwisu.

O WIERSZOPISANIU I ZWIĄZANYCH Z NIM PROBLEMACH

Ludmiła Marjańska

w: „Lekcja pisania” wyd. Czarne, 1998

NIE JESTEM KRYTYKIEM, RZADKO WIĘC BYWAM zapraszana do jury konkursów poetyckich. Może uważa się, że kto sam pisze nie potrafi obiektywnie ocenić cudzego wiersza? A jednak zaproszono mnie do jury pewnego konkursu i oto z przerażeniem ujrzałam przed sobą cztery opasłe segregatory pełne zapisanych kartek. Ze wstępu do broszury omawiającej wyniki poprzedniej edycji konkursu dowiedziałam się, że to samo przerażenie ogarniało dotychczasowych jurorów.

„Jeśli ma się doświadczenie” – pisze krytyk i poeta, Bohdan Zadura – „to wiadomo, że działają tu statystyczne prawa (...) i że osiemdziesiąt procent będzie – delikatnie mówiąc – nieporozumieniem.”

Ponieważ nie mam doświadczenia, traktuję to jako swego rodzaju ostrzeżenie, czy może pociechę, żeby nie brać sobie do serca intymnych zwierzeń i niewłaściwych słów, próbujących opisać coś, co już było tylekroć opisywane. Ale zaraz dalej Zadura pisze:

„Czyta się wiersze, a ma się świadomość, że ukrywają się za nimi setki zagubionych, zrozpaczonych ludzi, ludzi anonimowych, właściwie niemych, bo nie potrafiących znaleźć artystycznego wyrazu dla tego, co przeżywają, nie mówiących swoim głosem, kalkujących nieudolnie starsze lub nowsze konwencje. Ale to ich może poezja, nie będąca poezją, w jakimś sensie ocala.”

Skoro tak jest, jakże nie brać sobie do serca zamkniętych w nadesłanych utworach losów i cierpień? Bo niestety, większość ukrytych pod godłem osób chwytą za długopis, żeby się wyzalić, podzielić własnym nieszczęściem. Radość, zachwyty wypowiada się inaczej. Może bardziej spontanicznie – śmiechem, okrzykiem, piosenką?

Podobnie jak doświadczony (chce się rzec „prawdziwy”) pisarz czerpie ze swego życia, przekształcając je i nadając mu formę literacką, tak owe rzesze niedoświadczonych w pisaniu, a doświadczonych przez życie, próbują się wypowiedzieć i w tym wypowiedzaniu znaleźć ocalenie. Niełatwa jest rola jurora, który musi ocenić nie tylko właściwą formę wypowiedzi, ale zawartą w niej głębię czy indywidualność przeżycia.

Przerażenie na widok ilości nadesłanych na konkurs wierszy zmienia się więc we współczucie, które juror-krytyk musi odrzucić, a które celuje ostrzem w jurora-poetę: po cóż więc i ty trudnisz się tym zenującym i nieopłacalnym zajęciem? Refleksja nad sensem pisania w ogóle, skoro zalew istniejącej już literatury może zniechęcić najwytrwalszego wyrobnika pióra. Miałam podobne (choć nieporównywalnie potężniejsze) odczucia, gdy zwiedzałam bibliotekę przy uczelni Trinity College w Dublinie. Wysoka, długa sala z piętrowymi półkami pełnymi szacownych, wspaniale oprawionych dzieł, pośród których stoją popiersia sławnych autorów, napełniła mnie melancholią i podziwem. Podziwem dla nieznużonych pracowników biblioteki, z których jedni kończyli odkurzanie książek i półek w pobliżu wyjścia, a inni zaczęli tę syzyfową pracę u wejścia. Jednocześnie pracowano tu nad konserwacją bibliotecznych zabytków i nad uzupełnieniem zbiorów. Dawność mieszała się ze współczesnymi osiągnięciami sztuki konserwatorskiej, ale ciężar przeszłości w postaci tysięcy książek był dla mnie zbyt przytłaczający.

Nie doznawałam tego w bibliotece Uniwersytetu Waszyngtona w Seattle, gdzie pracowałam nad wyborem wierszy Edwina Arlingtona Robinsona. Czy dlatego, że przeszłość amerykań-

kańska zdawała mi się zbyt krótka i mniej poważna, żeby przygnać, czy może dlatego, że byłam wtedy o wiele młodsza i odważniejsza? Zainteresował mnie właśnie jeden z tych mniej znanych poetów, który potrafił w krótkiej formie odmalować portrety tak zwanych zwykłych ludzi, ale długo czekał na słowa uznania. To podobno E.A. Robinson powiedział kiedyś, że nie umie w życiu robić nic innego poza pisaniem wierszy. Zatem pisanie jest koniecznością, wewnętrzną potrzebą, która także tłumaczy nieszczęśliwych autorów wysyłających wiersze na rozmaite konkursy? I jeszcze jedno, o czym teraz przypomina mi przykład Robinsona: jak ważna jest selekcja, odrzucanie wierszy słabych, umiejętność pozostawiania tylko najlepszych. Tę rzadką umiejętność niewątpliwie posiada Wisława Szymborska, której zadziwiająco szczupły dorobek zyskał uznanie świata. Nie posiadał jej ani E.A. Robinson, ani angielski poeta William Wordsworth, z którym porównuje Robinsona jeden z krytyków amerykańskich, Yvor Winters. Pisze on:

„Nawet takiemu geniuszowi jak Wordsworth udało się pogrzebać swoją prawdziwą wartość pod stosami miernych utworów”.

Święte słowa! Ale nie każdy poeta chce się przyznać do własnej słabości. Tak, sztuka selekcji. Jednak aby ją osiągnąć, trzeba mieć wyczulone oko i ucho krytyka, podchodzić do własnego pisania z chłodnym dystansem. A to nie jest proste. Tego na pewno nie potrafią amatorzy, piszący z potrzeby serca i wysyłający mierne utwory z nadzieją, że zostaną one zauważone na konkursie. Jakie kryteria należy stosować wobec wiersza?

Powinien mówić o autentycznym przeżyciu, które przemówiło by do wyobraźni odbiorcy. Tak, ale nie może posługiwać się banalnym, użytym słownictwem. Jeżeli autor ryzykuje i lubi staroświecką, klasyczną formę (rym, rytm, strofa), powinien dla kontrastu używać języka współczesnego, nawet potocznego (co nie znaczy wulgarnego). Jak ognia należy strzec się mę-

skich rymów w rodzaju „pies – bez” czy „maj – raj”. Autor powinien zderzać ze sobą słowa „aby się sobie dziwiły”, ale nie śmieszyły czytającego (chyba, że z zamierzenia wiersz ma być zabawą), może też wykazywać się pewną inwencją słowotwórczą – ale musi pamiętać, że przed nim istniał Leśmian i Tuwim, a w Rosji Wielimir Chlebnikow.

Emily Dickinson lubiła słowa, „przed którymi trzeba zdjąć kapelusze”, ale nie używała ich zbyt często. Podobna do poetki amerykańskiej była w tym jej tłumaczka, Kazimiera Iłakowiczówna, choć dla współczesnego ucha jej poezja może czasem wydawać się zbyt młodopolska.

Jakimi więc kryteriami ma kierować się adept sztuki poetyckiej? Czy istnieje recepta na dobre wysmażony wiersz, tak jak na konfitury? Dla czego jeden utwór, nawet nierymowany, jest poezją, a inny, kunsztownie zbudowany z zachowaniem wszelkich prawideł tradycyjnej poetyki, to tylko grafomania? Czy do napisania dobrego wiersza potrzebny jest talent czy doświadczenie? Artur Rimbaud przestał pisać mając lat dziewiętnaście, stary Johann Wolfgang Goethe nie rezygnował nawet z pisania miłosnych liryków. Starzy mają doświadczenie i wprawę w rzemiośle pisarskim, młodzi są odważniejsi i drwią sobie z wszelkich nauk.

Pamiętam, jak przed wielu laty do redakcji literackiej radia, gdzie wówczas pracowałam, przyszedł świeżo upieczony maturzysta z plikiem wierszy i kładąc je na biurku powiedział: „Tylko niech mi pani nie mówi, że tu są jakieś wpływy. Od kiedy skończyłem szkołę, nie czytam żadnych wierszy”. I rzeczywiście, była to szkoła samego mistrza Adama.

Nie wolno obawiać się wpływów. Trzeba czytać jak najwięcej, jak najróżniejszych poetów. Znajdować różnice i pokrewieństwa. Lubić tych, nie cierpieć innych. Z samej wielości, różnorodności wierszy czerpać otuchę, że można pisać, uczyć się, że trzeba szukać siebie, własnego, niepowtarzalnego wyrazu.

A jednak pisania nie można się nauczyć, choć takie „writing courses” od lat istnieją na amerykańskich uniwersytetach, a już i u nas się pojawiły. Można wiedzieć **jak** pisać i stać się nijakim poetą. A można nie wiedzieć nic o sztuce pisania i w jednym wierszu zamknąć istotę poezji.

Piszę i jestem pełna wątpliwości. Czytam cudze wiersze i boję się mylnego osądu. A przecież instynktownie wiem, który wiersz dotyka tej cudownej tajemnicy ■

Bardzo młoda poezja

EWA STEFANOWSKA

* * *

Wynajęłam sobie
przyszłość
z drzwiami z
przeszłości...

1996

* * *

Błyska się.
Grzmi.
Pada.
Burzliwy romans
popada w nostalgię.

1996

Kochanek

Stukot obcasów
między uliczkami...
Oddech urywany
zakłóca głosy ulicy...
Spiesz się...
Chce zdążyć...
Jest...
Puka...
W plamie światła
kontur nagiego ciała...
Nic nie ukrywa...
Zatapia się
w ręk oczekiwaniu...
Już wyobraźnia
nie smakuje kawałka skóry...
Jest twój...
...
Nie chcesz go opuszczać...
Musisz...
Miałas tylko godzinę...

2001

DOMINIKA WIELKIEWICZ

* * *

Ślady na szkle
świadczą o ciepłym
dotyku przedmiotów.

Kilkadziesiąt godzin radości
po podlaniu nasion
kiedy słońce
świeci na pochmurnym niebie.

Ciemny pokój
z ogromnym łóżem zamienia się w
Pole walki

* * *

Widzę Pana jak
Pan siedzi
z kartką w dłoni
Na czole rysuje się zmarszczka,
zęby przygryzają wargi.
Co Pan tak czyta?
Pańska twarz jest bez wyrazu,
a oczy
nie wypatrzyły geniuszu, pomimo, że to wciąż
Ta sama osoba,
Bo Pan chyba nie widzi
już dla niej
żadnej szansy.



Iwona Kręciwilk
„Rano wstaje”

Szymon Grzegorzewski

salvador dali
„posąg nocy”

kropelka
rubinowej krwi
na czubku pędzla
brzegi blejtramu
jak krzyczące usta
zakneblowane cyrografem
w tle smuga raju

mefisto maluje autoportret

edward munch
„madonna”

provokujący akt madonny

pod przymkniętymi powiekami
bezsilność wobec kobiecości

XXI wiek

żadnych pytań odpowiedzi
sztuczne kobiety
w sztucznej bieliźnie

jaskrawoczerwona szminka
znika z każdą kroplą
wiosennej mżawki



Iwona Kręciwilk „Wanna”

poranne tremolo

za oknem mroźne powietrze
wychylam nos z ciepłej pościeli
do połowy otwartym okiem
zerkam na puste mieszkanie

paskudna depresja brak apetytu
nie mogę powstrzymać drżenia rąk
wypijam wodę prosto z wazonu
przywiedle róże nadal kolą wargi

pałę dwie paczki mocnych dziennie
herbatę madras parzę w kubku
zawsze z trzech łyżeczek z cukrem
po kawie żółkną mi zęby

chodnikiem tłoczą się przechodnie
nie czeka ich nic ciekawego
szepczą modlitwę stałości bytu
w ich twarzach zakłęte zmęczenie

* * *

syntetyczne miasto
syntetyczni ludzie
syntetyczne ogniska
domowe

wyuczone wzruszenia
setek mieszkańców
obojga płci
zawsze gotowych
zawsze czujnych
zawsze normalnych

tylko w domu wariatów
nieustanny plener
nieustanny koncert
nieustanny wieczór
autorski

* * *

kieliszek
upił się wódką
półmisek
zjadł przekąskę
prezerwatywa
zaspokoila kobiety

nie ma już co robić

39 KROKÓW

PRZEŻYWAJĄCE KRYZYS CZĘSTOCHOWSKIE wydawnictwo Dom Książki znalazło swojego „zmiennika” w postaci oficyny „Bulion” (nie mylić z „Brulionem”), założonej przez poetę Szymona Grzegorzewskiego. Na początek Szymon wydał swój debiutancki tomik poezji pt. „39 kroków”, w najbliższym czasie ukaże się czasopismo artystyczne, drukujące w odróżnieniu od „Aleji 3” twórców niezwiązanych z Częstochową.

„39 kroków” wygląda atrakcyjnie – ciemnoczerwona ilustracja Marii Ogłazy na okładce przyciąga oko potencjalnego nabywcy. Ceglane tło i zmęczone twarze everymenów reklamują poezję bliską codzienności, ulicznego bruku, chropawej i niepięknej rzeczywistości. Szymon skłania się do opisywania prostymi, urywanymi zdaniem świata melin, prostytutek, brzydkich mieszkańców, nieciekawych sąsiadów z marginesu. Miejska brzydota pociąga go jak magnes, a i w swojej egzystencji wyławia te turpistyczne elementy: bliskość zsympów na śmieci, poranny papieros, pijackość nocy, przytłaczające ściany i mury, fizjologia ciała. Pospolici przechodnie nie są przyjaciółmi, a znajomi paradują w zblazowanych maskach imprezowiczów. Tak w skrócie wygląda „Inny świat” – pierwszy rozdział tomiku, drugi – „Piosenka z ulicy” jest do niego podobny. Beznadziejny świat mieszczan siedzących przed telewizorem, nudny do kwadratu mdli swoją normalnością i szarością. Odszkodnią wydaje się być dom wariatów – oaza sztuki, artystów, wolności i radosnego tworzenia (to raczej utopijny mit współczesnych twórców). „Próba erotyku” – kolejny rozdział – jest faktycznie tylko próbą. Niewiele tu słów o miłości, więcej o zużyciu, zaspakajaniu cielesnym, wyzywających, nowoczesnych kobietach-wampach. Autor wyraźnie nie trawi (nie on jeden) wizerunku kobiety kreowanego przez media i reklamę („XXI wiek”). Pesymistyczna wizja sprzedajnego świata (w którym kupuje się także miłość), który produkuje wynaturzone postacie, gdzie symbolem kobiety staje się komplet kosmetyków, a miłości prezerwatywa, jest zrozumiała i wyraźna. Poeta w takim świecie może być przygnębiony, a swoje obrzydzenie – tak jak niegdyś Julian Tuwim w „Mieszczanach” – przelewa na papier.

Zamykający tomik cykl „Prowokujący akt madonny” to poetyckie refleksje na temat wizerunku kobiety w malarstwie (coś podobnego ro-



Szymon Grzegorzewski, „39 kroków”, Bulion, Częstochowa 2002

bił wcześniej A. Frania w „Na zimnym uczynku”). Skoro współczesna kobieta jest nieatrakcyjna, trzeba jej ideału szukać w dziełach sztuki, np. w obrazach Picassa, Ernsta, Maneta, Modiglianigo, Renoira, Muncha, Dalego i innych. Każdy z artystów malował kobietę inaczej, każdy wydobywał inny aspekt kobiecości. Ukłon Grzegorzewskiego w stronę artystycznych autorytetów jest tak naprawdę jego spojrzeniem na obraz. Spojrzeniem męskim, fizycznym, zmysłowym (Frانيا widział więcej metafor, szukał nawiązań i poezji). Ogólnie poezja Szymona jest brutalniejsza, jakby była sposobem powiedzenia: „nie oszukacie mnie i tak widzę to, co chcecie przede mną ukryć”. Grzegorzewski surowo traktuje materię poetycką, nie cacka się ze słowami, a otaczający świat boksuje niczym spychacz zwały gliny. Nawiązania do innych dziedzin sztuki zawsze cieszą, bo uniwersalizują przekaz artystyczny, pozwalają spojrzeć panoramicznie na całość, lecz ten rozdział troszeczkę odstaje od reszty tomiku. Może poeta chciał nieco łagodniej zakończyć książeczkę, aby czytelnik nie myślał, że jest skończonym frustratem. Kilka wierszy bardzo mi się podoba, stosowane są różne zabiegi warsztatowe, np. powtarzanie fraz w „(...) Syntetyczne miasta (...)”, są tropy balladowe – mimo braku rymów jest wyraźny rytm, można by to nawet zaśpiewać („Poranne tremolo”), jest zróżnicowana wersyfikacja. Moim zdaniem wiersze mogłyby być bardziej niegrzeczne, więcej w nich niezadowolonia, ale jak na debiut jest bardzo dobrze. (SB)

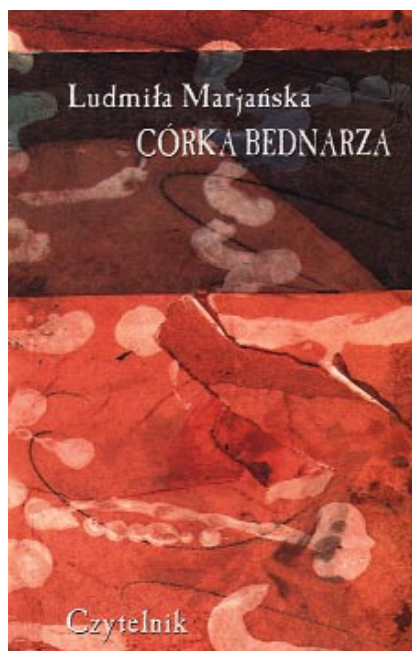
UCISZENIE

Kolejna książka Ludmiły Marjańskiej

CO ZAWIERA OSTATNIA, WYDANA PRZEZ OFICYNĘ „Czytelnik”, książka poetycka Ludmiły Marjańskiej pod tytułem „Córka Bednarza”? Wielką prawdę o ludzkiej kondycji, szczególnie człowieka starszego, który przeszedł w życiu wzloty i upadki. Nie zapominajmy jednak, że Marjańska jest poetką (nie bywa), tzn. kimś, kto w otaczającej nas rzeczywistości widzi inaczej i co innego niż przeciętny zjadacz hot-dogów. Rzeczy drobne, nieraz banalne, rozpalają wyobraźnię, są piękne. Oficjalnie zaś piękne – mizerne. Każdy prawdziwy poeta to odmieniec nie dający się sklasyfikować powszechnym schematem, stereotypem. Gdy cierpi, to cierpi więcej, gdy przeżywa szczęście, to ma ono wymiar niemal kosmiczny. To ktoś, kto na początku swojej drogi artystycznej stawia więcej pytań niż tez; z biegiem czasu ta proporcja się zmienia: to ktoś, kto ma świadomość, jak nasza wiedza i samowiedza są niepełne, zawodne, że więcej nie wiemy niż wiemy. Jakimi tajemnicami są narodziny, miłość i śmierć? To wszystko, w stopniu możliwym dla istoty dwunożnej, posiadała Pani Ludmiła.

Poza tym styl, o którym, przy okazji edycji kilku ostatnich książek, pisałem dużo. Biorąc pod uwagę całość poetyckiego dorobku pisarki, można powiedzieć, że z każdym tomikiem się on krystalizował, oczyszczał, dążąc do **mądrej jasności i prostoty**, aż osiągnął ją w pełni. Przykład:

Ludmiła Marjańska,
„Córka bednarza”
wyd. „Czytelnik”
Warszawa 2002



* * *

Ach ta niezwykła zwykłość
z której wschodzi
poblask wieczności
Te zwyczajne losy
zgęszczone jak lasy
podzwrotnikowe
dżungla
pragnień zawiści żalów
niespełnienia
Ten zachwyt nad innością
nad różnorodnymi
odmianami lotosu
losu
traw zbóż
zbożny zachwyt

„Niezwykła zwykłość” świata, różnorodność wszystkich jego form, inność materii, przyrody. Piękne: każdy „lotos” inny i zaraz, każdy „los”. Ta odmienność kwiatu (krzewu) i ludzkiego fatum czyni wszelki byt w oczach Marjańskiej fenomenem, cudownością istnienia, wywołuje wciąż olśnienie i wciąż zdziwienie, że istnieje drobny listek brzozy i gwiazdozbiór Wagi na południowym niebie. Chciałoby się powiedzieć za niemieckim uczonym: „My, dzieci Wszechświata...” Do tych dzieci należą i listek, i każda gwiazda. A przecież ten wiersz i inne grawitujące wokół sedna istnienia, jest prosty, niewymyślny, uderza czytelnika swoją ciemną jasnością. To właśnie – **poezja**, nie wierszowanie. Dla niepoety codzienność to na ogół pospolitość, proza, nic interesującego. A jeśli coś pobudza, podnieca, to tylko swymi cechami, nie istotą, (np. człowiek). Dla poetki wszystko ma walor czarodziejstwa, tajemnicy. **„Zwykłość/ z której wschodzi/ poblask wieczności”**. Nie ma dwu absolutnie identycznych rzeczy, przedmiotów, ludzi. Czy to nie magiczne, feeryczne? Ale nasza teraźniejszość, każda teraźniejszość oznacza także dżunglę **„pragnień, zawiści żalów/ niespełnienia”**.

Zatrzymałem się nad wierszem, w którym obserwacje mają podtekst filozoficzny, mówiący o kuriozum istnienia. Brak tego w dwu poprzednich książkach poetyckich Ludmiły Marjańskiej. Cięć Thanatosa długo nie chciał zejść z warszawskiej siedziby poetki i jej serca (śmiertelna, długoletnia choroba męża). Tragiczne uwarunkowanie znalazło też wyraz we wspomnianych już tomikach, lecz smuga cienia widoczna jest również w „Córce Bednarza”. Lektura całego zbioru świadczy, że poetka (chyba dzisiaj najlepsza wśród starszego pokolenia w kraju) odbiła się już od dna osobistej tragedii, chociaż cios, jaki zadało jej życie, psychiczne rany, nigdy się nie zabliznią. Dowodem wersy, passusy wspominkowe, motyw samotności, przemijalności czasu, udreka pamięci, która jednocześnie chowa w sobie to wszystko, co było najlepsze, najszcześniejsze. Sygnały, hasła z podróży po świecie, zanotowane niezwykle lapidarnie, bez jednego niepotrzebnego słowa. Skrótowość, zgęszczenie znaczeń, **synteza** stały się w poezji Ludmiły Marjańskiej kanonem. Zwięzłość komunikatów nie odebrała jednak wierszom ekspresji ani emocyjnej percepcji czytelnika, np. malarskości obrazów.

Uciszenie, czy raczej tylko złagodzenie bólu, pozwala powrócić do świata, codzienności, przy-

rody, przeżywać inspirowane nimi olśnienia i fascynacje. Ale poetka najpierw pisze:

* * *

Trzeba się z sobą przywitać
trzeba siebie polubić
twarz woalką czasu zakryta
blask oczu w nocach się zgubił
Nie ma już tamtej kobiety
nie można jej odmłodzić
Trzeba się z sobą przywitać
trzeba się z sobą pogodzić

Z sobą, lecz zmienioną przez gorzkie doświadczenia. Dlatego powrót do jawy odbywa się z całym bagażem przeszłości. Rekonwalescencja musi być długa, żeby pokazać las bukowy, w którego opisie pobrzmiwają osobiste sprawy i myśli dotyczące ludzkiej emocji:

Las bukowy

Przez wysoki bukowy las
ustrojony w czerwień i srebro
płynię słońce życia i czas
i zabiera mnie w podróż podniebną
Płynę w chmurach w deszczu łez
w tęczy
Tak to było i tak to jest
zanim serce naprawdę się zmęczy
W wysokim bukowym lesie
srebro gaśnie topnieje w szarość
Było słońce radość i blask
i niedosyt i nadmiar bezmiaru
I znów płonie zachodem las
gaśnie czas

W ostatnim zbiorze liryków L. Marjańskiej – jestem pewny, że doczekam się następnych – istotną funkcję pełni marzenia oniryczne, coś w rodzaju majaczeń oraz sen. Sen miesza się z rzeczywistością. Trudno ją od majaczeń oddzielić. Sen przyjmuje nieraz tragiczną wartość, staje się w pewnym stopniu tęsknotą za bratem Hypnosa, z odwróconą w dół pochodnią. „Spać – zasnąć – śnić/.../ zatonać – zasnąć – spać/ bez snów”. To jakby parafraza z Szekspira. Nie jest to jednak wołanie o sen wieczny:

A jeśli się otworzy dzień
i powie wstań
przez okna snu
zdmuchnę
niezgasłe dotąd świece
zdejmę zasłony
wpuszczę blask
zwykłego dnia

W innym miejscu nazywa sen „zastępczym życiem starości” albo „teraz sny się z życiem splątały”.

Wspominanie i pragnienie zapomnienia. Te dwa wątki się przenikają. Zapomnieć? Nieprzypadkowy chyba jest wiersz „Leta” umieszczony w tomiku. Jeden z najpiękniejszych. Leta to rzeka w Hadesie. Umarli, którzy napili się jej wody, zapominali na zawsze o swym ziemskim życiu. Marjańska nie opisuje mitu, mówi o swoim Losie, o tym, co było, jest i co może nastąpić. Zaczynają pierwszą i ostatnią zwrotkę:

Pamiętam – zapomniałam –
zapomniałam – pamiętam –
skąd wypływa ta rzeka
zmacona i kręta
/.../
Rzeko podziemna rzeko
lasy nad tobą płoną
Jeśli ujście daleko
pozwól sercu zatonać

Wszystkie cztery zwrotki jak cztery doryckie kolumny: proste, białe (kiedyś były kolorowe, lecz barwę wypaliło słońce) i Antygonowo tragiczne. To ostatnio styl Marjańskiej. Czy naprawdę chciała by zaczerpnąć wody z Lety? Sen Wieczny? Mam co do tego wątpliwości... Tkwią w samym zbiorze.

Intryguje tytuł tomiku i ostatni wiersz o identycznym nazwaniu. „Córka Bednarza”? Zagadkowe. Bohaterka zaprasza bednarzównę do tańca. W beczkach dojrzewa sierpniowe wino. Klimat nieco leśmianowski. Córka domaga się zaręczyn. I ostatnia zwrotka:

Na skraj podwórza beczka się toczy
Słoneczny taniec pękły obręcze
Wsiąka w piach grudnia dojrzałe wino
Przed białą panią kornie kłęczę
Córka bednarza zamknie mi oczy

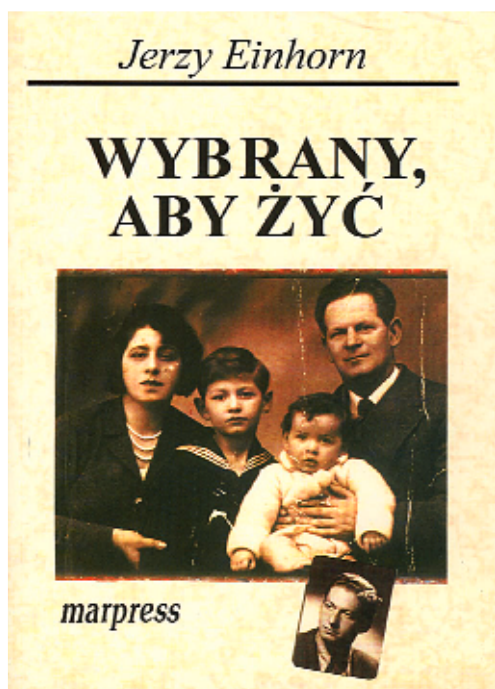
Dygresja osobista. Ojciec mój umierał przytomnie. Na godzinę przed nożycami Atropos, przebudziwszy się, powiedział, że śniły mu się dębowe beczki. O Pani Ludmile Parki jeszcze nie myślą. Jej żywotność, mocne (mimo wszystko) trzymanie się życia, wytrwała pracowitość – zawowocują na pewno w przyszłości niejednym przepięknym, mądrym, choć cienistym, tomikiem poetyckim. Choroby? Głupstwo! Sam przecież słaniał się na bolących nogach. Ale żyję. I też mam plany literackie. Na swoją miarę■

Tadeusz Gierzyński

WYBRANY ABY ŻYĆ

POD KONIEC ROKU SZKOLNEGO W LO IM. TRAU-
gutta odbyło się spotkanie promocyjne
książki Jerzego Einhorna pt. „Wybrany aby
żyć”. Dlaczego właśnie tam? Autor był absolwentem
tej szkoły w roku 1945 i pewien sentyment
do miejsca, pomimo upływu lat, pozostał. Jerzy
Einhorn był częstochowskim Żydem, który w ro-
ku 1946 wyemigrował do Szwecji. Został tam ce-
nionym lekarzem, wszedł do komisji, która
opiniowała kandydatury do Nagrody Nobla
w dziedzinie medycyny. Swoje wspomnienia spi-
sał, by zostawić świadectwo tego, co w czasie
wojny działo się ze społecznością żydowską na
ziemiach polskich – pokazać jak doszło do zagła-
dy 3 milionów jego pobratymców. Zaczynając od
wczesnych lat dzieciństwa, kiedy zakład krawiec-
ki jego ojca był najlepszym w mieście, wędruje-
my przez makabryczną wegetację w getcie oraz
obozie pracy na terenie zakładów Hasag – Pel-
cery. Książkę kończy ucieczka do Szwecji tuż po
wojnie, gdy w „wyzwolonej” Polsce zaczynają
się kolejne pogromy Żydów. Historia niemal
filmowa, napisana płynnie i z sentymentalnym
urokiem (nieustannie przewijają się wątki miłos-
ne i inicjacyjne), przez co można ją polecić tak-
że młodzieży. Opisy przedwojennej i wojennej

Jerzy Einhorn,
„Wybrany
aby żyć”,
wyd. Marpress,
Gdańsk 2002



Częstochowy są nie-
zwykle interesujące,
bo mało kto już pa-
mięta, jak wtedy by-
ło, tym bardziej, że
o kwestii żydowskiej
w Polsce panowało
milczenie od lat 70.
Folklor i silna trady-
cja żydowska w na-
szym kraju poszła
w zapomnienie.

Jak wyglądało
duże getto? Jak małe?
– można się dowie-
dzieć z tej książki.
Opisana jest także
perfekcyjnie zorga-
nizowana akcja zag-
łady Żydów, którzy
idąc do komór gazo-
wych do końca nie

wiedzieli co się z nimi stanie. Autor oskarża
głównie niemieckich psychologów i logistyków,
którzy akcje przygotowali. Przy okazji nasuwa
się skojarzenie z pomocą koncernu komputerow-
ego IBM przy przygotowaniu gigantycznej ba-
zy danych „skazanych na zagładę”. Einhorn nie
szczędzi też gorzkich słów aliantom, którzy przy-
glądali się eksterminacji w milczeniu, jakby ap-
robowali „Endlösung”. Także Polakom nie wysta-
wia dobrego świadectwa (nie mówiąc już
o słynącym z okrucieństwa bojówkach ukraiń-
skich i bałtyckich). Oni również polowali na Ży-
dów, a po wojnie sami dokonali pogromu ocala-
łych. Nie ma się co oszukiwać – z naszym
antysemityzmem też mamy jakiś procent winy,
co niedawno przyznano w sprawie Jedwabne-
go. Najgorsze jest to, że dzisiejsi Polacy w podob-
nej sytuacji zachowaliby się prawdopodobnie
tak samo. Nie rozumiem natomiast rozdziału,
w którym Einhorn rozgrzesza Niemców z win
za II wojnę światową, uważając że byli do niej
niejako zmuszeni przez niekorzystny dla nich
Traktat Wersalski. W ten sposób można uspra-
wiedliwić nazistowskie ludobójstwo, gdyż Nie-
mcy byli zdeterminowani przez Francuzów i An-
glików do szukania szczęścia na wschodzie.
Autor wyraża często duży podziw dla wielkiej
kultury niemieckiej, ale trudno mu to jakoś po-
godzić ze swymi przeżyciami. Dla mnie jest to
teza nie do przyjęcia, podobnie jak rozdział pt.
„Jacy jesteśmy my Żydzi”, bo fakt zamieszkiwa-
nia w silnej, odosobnionej społeczności w innym
kraju zawsze będzie rodził konflikty i przemoc,
co zresztą Żydzi sami stosują obecnie wobec Pa-
lestyńczyków.

Sam fakt, że Einhorn przeżył apokalipsę jest
wystarczającym powodem do napisania tej książ-
ki. Przeżycie oznaczało niesłychany zbieg oko-
liczności, bo śmierć wybierała wtedy jak ślepy
los. Przez wiele lat ocalali z zagłady nie chcieli
o tym rozmawiać, zajęci układaniem życia w po-
kojowym świecie. Potrzeba było kilku dekad, aby
spojrzeć na wydarzenia z dystansu. Nasze mias-
to też powinno sobie przypomnieć zaginiony
świat, wtedy być może lepiej zrozumiemy Czę-
stochowę i jej pokreconą przeszłość i charakter
niektórych dzielnic.

Wcześniej obrazki z miejscowego getta prze-
wijały się w opowiadaniach izraelskiej pisarki
Iryt Amiel, lecz pierwszy raz ktoś opisał Czę-
stochowę lat 1920-46 tak obszernie i wyczerpująco.
Książka ukazała się przy finansowej pomocy
Urzędu Miasta w Częstochowie. Przekładu z je-
zyka szwedzkiego dokonał Wojciech Łygaś. (SB)

POWAKACYJNE ROZMAITOŚCI

W poprzednim numerze bardzo chwalilem bogatą ofertę wystawową Miejskiej Galerii Sztuki. Obecnie warto odnotować kolejne wystawy tej galerii. Są to tym razem trzy ekspozycje indywidualne.

Adam Patrzyk uczestniczył w Częstochowie w Triennale „Sacrum” i wystawie „Artyści Częstochowy XX wieku”. Zapamiętałem go jednak szczególnie z obrazów wykorzystywanych w książkach poważnych wydawnictw. Jak wypada konfrontacja maleńkiego formatu reprodukcji z dużym oryginałem? Wydaje mi się, że tam, gdzie są to kompozycje nasycone kolorem i rytmem, jak w płótnie – wizji ogromnej biblioteki – wrażenie jest równie silne albo nawet silniejsze. Naturalnie, oryginał zwykle powinien działać mocniej od reprodukcji. Ale w książce obraz był użyty w tak piękny sposób, tworząc odrębne dzieło – że wahałbym się z wyborem, co odpowiada mi bardziej. Natomiast co do obrazów, w których pojawia się płaszczyzna nieba malowanego szerokim gestem, ale jakby pobieżnie, aby tylko zamalować powierzchnię płótna – pojawiają się pewne wątpliwości, czy zestawienie bogatej materii malarskiej, gruzelkowej faktury pozostałych partii obrazu z tak potraktowanym niebem jest najszcześniejsze. Choć rozumem zamysł artysty. Podobne wątpliwości dotyczą też obrazów z motywem morza. Rozmawiamy sobie o tym na sali wystawowej z Aleksiejem, który znów nawiedził Częstochowę. Uważam, że siłą malarstwa Patrzyka jest żar – w dosłownym znaczeniu. Rozżarzona materia płonie jak lawa wylewająca się z wulkanu i zastygająca w skałę.

Druga wystawa to prezentacja prac kolejnej laureatki Konkursu „Nadzieje plastyczne Częstochowy” – Julity Chrząstek. Także i ta wystawa, podobnie jak poprzednio Anny Górskiej, dowodzi poważnego potraktowania nagrody. Ekspozycja z dziedzi-

ny projektowania ukazuje dążenie do czystości formy, oszczędności, elegancji (choć może i pewnego chłodu), wyszukanego zestawiania materiałów: szkła, drewna, stali. Wprowadzenie elementów czarnego rysunku, złotej folii, efektów światła, głębi szkła urozmaica całość wykraczając poza jedną dyscyplinę twórczą

I wreszcie największa sala galerii. Przeznaczona została dla obrazów Jagody Adamus. O tej wystawie nie mogę wiele powiedzieć. Moja wina, powinienem był przyjść jeszcze raz. Odwiedziłem bowiem galerię późnym popołudniem, w upalny, słoneczny dzień, gdy słońce z całą intensywnością oświetlało salę przez wielkie szyby okien przysłonięte białymi zasłonami. Aby cokolwiek zobaczyć, trzeba było nieraz przysłaniać sobie oczy i szukać odpowiedniejszego miejsca, z którego nie błyszczałby werniks na obrazach. Duże płótna olejne, w kolorystyce zwanym popularnie pastelowym. Zagadnienia koloru i światła w obrazie zajmują artystkę szczególnie. Światło nie jest tak dramatyczne, jak w rozżarzonych płótnach Patrzyka. Tu łagodnie przesyca obraz, wszystko jest płynne, miękkie, czasem przymglone czy przymdlone. Obrazy na pograniczu abstrakcji, wyraźnych inspiracjach pejzażem, z uwzględnieniem pór roku. No i ta niefortunna aranżacja wystawy, gdzie skupiono prace po obrzeżach, wzbogacając w dodatku sporymi roślinami doniczkowymi o kolorowych liściach, tak że niektóre zasłaniają obraz.

*

Przyjemnie jest, wędrując po kraju, cieszyć się sukcesami częstochowian. I tak spacerowałem niedawno nad Motławą w towarzystwie przemiłych Reginy i Janusza Plotów, gdy podczas tego spaceru zauważyłem na brzegu duży transparent informujący o wystawie: „TOMASZ SĘTOWSKI. TEATR WYOBRAŹNI”. Żałowałem, że nie starczyło mi czasu, by zobaczyć, jak też obrazy Sętowskie prezentują się tutaj, ale fakt istnieje

nia tej wystawy odnotowuję z przyjemnością.

Również nad morzem święci zasłużone triumfy inny częstochowianin. Od trzydziestu lat (jubileusz!) Eugeniusz Brańka, znany w Częstochowie muzyk, specjalista w dziedzinie organów, kiedyś dyrektor muzyczny Jasnej Góry, dyrygent chóru jasnogórskiego, wykładowca Wyższej Szkoły Pedagogicznej – organizuje zainicjowane przez siebie Letnie Koncerty Organowe i Kameralne we Władysławowie i sąsiednich miejscowościach Półwyspu Helskiego. Na zaproszenie pana Brańki przyjeżdżają wybitni soliści z Polski i z zagranicy. Czwartkowe koncerty we władysławowskim kościele, powtarzane w piątki u jezuitów w Jastrzębiej Górze, cieszą się dużym powodzeniem u mieszkańców i wczasowiczów.

W programie tegorocznych koncertów z przyjemnością znajduję kompozycje organowe i wokalne Eugeniusza Brańki w interpretacji gości. Zaś jego koncert jubileuszowy z udziałem córki (absolwentki Szkoły Muzycznej w Częstochowie), syna i pani Ewy Warzechy odbył się 8 sierpnia. Byłem na tym koncercie wśród licznych gości zgromadzonych na chórze, słuchałem, patrzyłem, podziwiałem. Duży kościół był wypełniony do ostatniego miejsca.

Celem mojego następnego wypadu plenerowego stał się Miechów – stare miasteczko między Krakowem a Kielcami. Tutaj ja czułem się przedstawicielem Częstochowy. Plener miechowski – dzięki energii i konsekwentnemu działaniu Krystyny Olchawy kierującej tamtejszą Galerią BWA – stał się w tym roku dużą imprezą prawdziwie międzynarodową (artyści ze Stanów Zjednoczonych, Austrii, Francji, Słowacji, Rosji oraz różnych stron Polski). Dobrze, że są ludzie zaangażowani w to, co robią, mają dobre pomysły i potrafią je realizować. Dotyczy to w szczególności gospodarzy plenerów, inicjatorów i organizatorów koncertów oraz innych artystycznych przedsięwzięć.

Władysław Ratusiński

NAGRODY PREZYDENTA MIASTA W DZIEDZINIE KULTURY AD 2002

Literatura i historia
dr Marceł Antoniowicz

Muzyka i balet
ks. prof. Kazimierz Szymonik

Sztuki plastyczne
prof. Jerzy Duda Graczy
prof. Leon Maciej

Teatr i film
Michał Kula

Promocja i ochrona kultury
Adam Mroczek

Mecenas sztuki
CZSM „Nasza Praca”
PHU „Domex”

COMMODORE PARTY



Coś nowego zaczyna się dziać na częstochowskiej scenie muzycznej. 29 czerwca w pubie „Utopia” zadebiutowała grupa „Krzyż Kross”, którą tworzy duet Paweł Majer i Marek Stypka. Grają nieco dziwną muzykę, bo generowaną na starych, prymitywnych komputerach Commodore. W brzmieniu przypominają dawny „Kraftwerk” i „Cabaret Voltaire” albo wczesną „Formację Nieżywych Shabuff”. W ich repertuarze pojawiły się też przeboje grup New Order, OMD i Soft Cell (z polskimi tekstami). Grupa została owacyjnie przyjęta, pomimo drobnych niedociągnięć technicznych, niekontrolowanych buczeń

i bzyczeń. Moda na tak nie lubiane lata osiemdziesiąte powraca – w stolicy już od kilku lat młodzież bawi się przy nowofalowych „Romantic Boys and Supergirls” wydanych ostatnio na składance firmy SP Records „Disco chaos”, więc kwestią czasu było dotarcie tego trendu na prowincję. Wcześniej Paweł Majer próbował swych sił w grupach heavy metalowych, Marek Stypka (świeżo upieczony plastyk) w roli frontmana pokazał się po raz pierwszy – z sukcesem. Czy biesiady elektroniczne się przyjmą – pokaże czas. O grupie na stronach: <http://www.krzyzkross.prv.pl>

ZŁE TOWARZYSTWO

Wernisaż grupy artystycznej o nazwie „Złe Towarzystwo” zapowiadał się tajemniczo. Padały różne przypuszcze-

MIASTA

nia: wystawa kryminalistów? blokerów? zepsutej młodzieży? Nic z tych rzeczy. 26 czerwca w budynku głównym WSP przy ul. Waszyngtona swoje prace pokazali wykładowcy (wśród nich dziekan), absolwenci i studenci Wydziału Plastycznego tej uczelni. Prace grzeczne, poprawne, niczym nie gorszące przeciętnego mieszczucha. „Złe Towarzystwo” jest nazwą anegdotyczną, wewnątrzśrodowiskową i nie oddaje charakteru jej członków, którzy mogą się pochwalić humorystycznymi legitymacjami. Wszyscy cenią wielopokoleniowość grupy i więzy towarzyskie, dzięki którym wystawa doszła do skutku. Postronnemu obserwatorowi brak w niej jednak motywu spójnego i oryginalnego.

Jest to raczej ostrożna prezentacja kilku indywidualności. W wystawie udział wzięli: Z. Wiatr, L. Wieluński, K. Szwejowska, S. Żak, T. Rzepecki, A. Stawiarska, J. Kweclich, I. Kręciwilk, T. Chudzik i M. Komorowska. A może wybór prac był nieodpowiedni?

PRZEWODNIK

Przebojem kończącego się lata w księgarzniach była „Jura Krakowsko-Częstochowska” opracowana przez Sławomira Adamczaka i Katarzynę Firlej, a wydana przez wyd. „Pascal” w serii „praktycznych przewodników”. Szkoda, że wydano ten przewodnik na szarym końcu serii, gdyż nasz region zasługuje na nieco więcej. Samej Częstochowie poświęcono 30 stron informacji o kulturze, historii, legendach, bazie turystycznej, gastronomii, atrakcjach, komunikacji, ciekawostek. Jak nas opisano? Oto ciekawsze cytaty:

1. „... Częstochowskie stare miasto nie jest zbyt reprezentacyjnym miejscem – odrapane ściany domów i zaniedbane ulice nie zachęcają do spacerów...”
 2. „... Do nielicznych wartych uwagi obiektów na terenie częstochowskiego Starego Miasta należy neogotycka archikatedra Świętej Rodziny. ...”
 3. „... Częstochowa – inaczej niż większość dużych miast Polski – prawie nie ma tramwajów...”
 4. „... Sporo informacji dotyczących Częstochowy można znaleźć w Internecie. Niestety, nie wszystkie strony są wystarczająco często aktualizowane, dlatego niektóre informacje (...) mogą być błędne. ...”
 5. „... W Częstochowie jest ponad 20 hoteli, moteli i innych miejsc noclegowych. Niestety brakuje (...) miejsc o standardzie turystycznym. ...”
 6. „... Punktów informacji turystycznej z prawdziwego znaczenia jest na opisywanym terenie bardzo mało. ...”
 7. „... Kradzieże na parkingach niestrzeżonych są plagą na całej Jurze. ...”
- Oczywiście wybrałem tylko palące cytaty, bo ogólnie jest całkiem dobrze i, poza wypominanym niedowartościo-

waniem regionu, nie ma się czego wstydzić. Jura jest przedstawiana jako przedziwna, tajemnicza kraina starych warowni skrywających legendarne skarby, białych skałek, amonitów, kryształów górskich, czystych źródeł, ostańców, ciemnych jaskiń zamieszkiwanych przez nietoperze i diabełki, jako mekka wędrowców, rowerzystów, speleologów i alpinistów. Zastanawiam się tylko dlaczego za jedyne go artystę działającego w Częstochowie uznano Wojtkę Kołsutę? Aż tak mizernie u nas ze sztuką nie jest. Mamy np. kilka autorskich galerii, a w Kusiech pisarza Andrzeja Kalinina... To hasło jest stanowczo niedopracowane. Przewodnik ubarwiono kolorowymi fotografiami i rycinami. Cena 29 PLN.

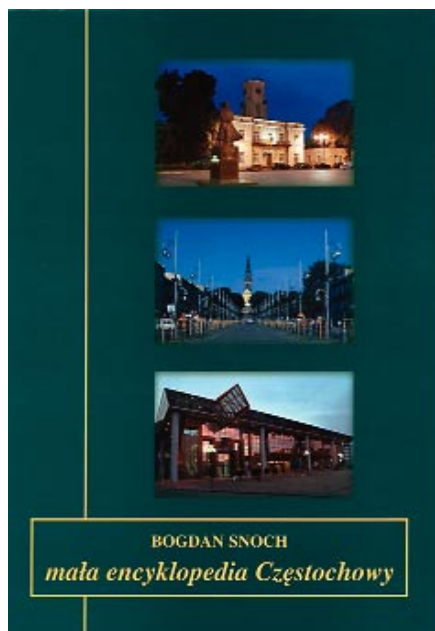
LATO

Z ciekawszych imprez letnich w naszym regionie warto odnotować Jurajskie Lato Filmowe w Złotym Potoku (18-21.07) oraz X Jubileuszowe Dni Częstochowy (25-30.08). Pierwsza, mimo złej pogody, przyciągnęła wielu miłośników kina na seanse na wolnym powietrzu i spotkania ze znanymi aktorami, m.in. Jerzym Trelą.

Natomiast Dni Częstochowy trochę w tym roku rozczarowały. Jak na jubileusz przystało – powinny być obchodzone huczniej. Jediną gwiazdą była tylko grupa Muńka Staszczyka – „Szwagierkolaska”, a całość nabrała charakteru imprezy plenerowo-rekreacyjnej z pogadankami na temat dawnej Częstochowy. Warto było zobaczyć wystawę z II Międzynarodowego Biennale Miniatury oraz zdjęcia Janusza Mielczarka, koncert jazzowy Zespołu Arka Skolika oraz grupy „Five o’Clock”, wernisaż rzeźby Mariusza Chrzastka i, jeżeli ktoś nie widział w maju – spektakl „Rzecz o Franciszku” – tym razem na Błoniach pod Jasną Górą. W ratuszu zaprezentowano I tom Monografii Częstochowy. Tuż po Dniach ... odbyły się III Europejskie Dni Kultury Ludowej połączone z uroczystościami dożynkowymi. W klasztorze 17.07. Wojciech Kilar ob-

chodził swoje siedemdziesiąte urodziny. Pobyt kompozytora w Częstochowie wiązał się także z otwarciem wystawy zdjęć Zdzisława Sowińskiego w pawilonie w parku im. Staszica, poświęconej wieloletniej obecności Wojciecha Kilara w jasnogórskim sanktuarium. (SB)

Pierwsza Encyklopedia o Częstochowie



Profesor Bogdan Snoch jest z wykształcenia historykiem, od ponad dwudziestu lat związanym z naszym miastem. Pracuje w Instytucie Pedagogiki i Psychologii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie. W dorobku naukowym Profesora znajduje się ponad dwieście pięćdziesiąt publikacji i artykułów, w tym również skrypty akademickie, słowniki i leksykony. Przed kilkoma tygodniami na półkach księgarskich ukazała się „Mała Encyklopedia Częstochowy” autorstwa Profesora. Wydawcą publikacji jest Towarzystwo Przyjaciół Częstochowy. Ta ważna i pionierska dla miasta praca ukazała się dzięki pomocy finansowej Zarządu Miasta Częstochowy przy współpracy Wydziału Strategii Rozwoju i Promocji Miasta Urzędu Miejskiego.

– W lipcu tego roku do rąk czytelników trafiła „Mała Encyklopedia

Częstochowy”. Co było impulsem do stworzenia tej wyjątkowej i potrzebnej publikacji?

– Uważałem, iż w Częstochowie – stolicy duchowej Polski należy poświęcić wydawnictwo, które by przedstawiało w krótkim zarysie przeszłość i współczesność naszego miasta. Wiele dużych miast w Polsce, takich jak: Warszawa, Wrocław, Kraków, Szczecin, ale także i małe ośrodki już od dawna posiadają encyklopedie, słowniki, leksykony. Częstochowa jest znana w Polsce, w świecie i powinna dysponować opracowaniem rozsławiającym i promującym miasto. Dlatego też zdecydowałem się rozpocząć pracę nad „Małą Encyklopedią Częstochowy”.

– Encyklopedia zawiera ponad dwieście haseł. Jak długo trwały Pańskie wędrowki po archiwach i bibliotekach w celu zgromadzenia niezbędnych informacji?

– Trudno mi na to pytanie odpowiedzieć. Już od wielu lat gromadziłem materiały. Do pracy mobilizował i zachęcał mnie ówczesny redaktor „Gazety Częstochowskiej”, Pan Szymon Giżyński. Gazeta systematycznie drukowała opracowane przeze mnie hasła poświęcone Częstochowie. Znaczna część z nich została włączona do „Małej Encyklopedii Częstochowy”. Tak więc, publikacja ta powstawała w dłuższej perspektywie czasowej.

– Obok zadań informacyjnych i kształcących, jakie jeszcze inne zadania ma w Pana opinii do spełnienia „Mała Encyklopedia Częstochowy”?

– Mam nadzieję, iż wydawnictwo to pozwoli wielu częstochowianom, i nie tylko, poznać dokładniej dzieje i historię naszego miasta, a zamieszczone biogramy przybliżą sylwetki ludzi, którzy trwale wpisali się na karty historii Częstochowy. Chciałbym również, aby ten zarys wiadomości stał się dla czytelnika zachętą do dalszych poszukiwań.

– Czy spośród osób, których biogramy są zamieszczone w Encyklopedii, jest Pan w stanie wybrać najbardziej zasłużone dla Częstochowy?

– Pragnę wymienić Władysława Biegańskiego – lekarza, filozofa, uczone-

go i społecznika. W moim odczuciu, osoba tego wielkiego humanisty nie jest w Częstochowie wystarczająco doceniana. Drugą postacią godną uwagi jest Julian Kalinka – również lekarz, naczelnik i delegat Komitetu Centralnego Narodowego dla Częstochowy w czasie powstania styczniowego.

– **W roku 1995 wydał Pan „Mały Leksykon Częstochowy”. Po siedmiu latach miasto nasze wzbogaciło się o „Małą Encyklopedię Częstochowy”. Czy w przyszłości możemy liczyć na kontynuację prac i powstanie „Encyklopedii Częstochowy”?**

– Bardzo chciałbym, aby tak się stało. Opracowuję już hasła z myślą o tej właśnie publikacji. Najprawdopodobniej znajdzie się w niej około dwóch tysięcy terminów. W Encyklopedii planuję uściślić pewne informacje, rozszerzyć niektóre pojęcia oraz wprowadzić nowe hasła i biogramy. Pragnę też zamieścić większą ilość zdjęć: obiektów, ulic, kościołów. Wszystko będzie uzależnione jednak od możliwości pozyskania środków finansowych i pomocy merytorycznej.

– **Dlaczego nie lubi Pan historii współczesnej?**

– Podtrzymuję, to co powiedziałem nie tak dawno dla „Gazety Wyborczej”. Aby łańcuchy wydarzeń można było nazwać historycznymi, musi upłynąć co najmniej osiemdziesiąt lat. O historii można mówić dopiero, gdy minie pokolenie. Historii współczesnej nie da się ocenić obiektywnie.

– **Dziękuję za rozmowę.**

Rozmawiała Barbara Szymańska

TAK TO WIDZĘ

Z Januszem Pawlikowskim – dziennikarzem, historykiem regionu z zamiłowania rozmawia Sławomir Burszewski. Pan Janusz prowadzi także warsztaty prasoznawcze dla młodzieży.

– **Jesteś autorem dwóch książek o Częstochowie. Jak oceniasz sytuację publikacji regionalnych w naszym grodzie?**

– Może się zdziwisz, ale w Częstochowie drukuje się obecnie mnóstwo róż-

nych pozycji poświęconych miastu; np. w wydawnictwie WSP, w Domu Książki, w Muzeum Okręgowym, pojawiają się też „Almanach Częstochowski” i „Ziemia Częstochowska”. Problem leży jedynie w ich dystrybucji, w dotarciu do potencjalnego klienta. Książki kurzą się gdzieś po magazynach, leżą pochowane w różnych księgarniach, placówkach kulturalnych, nie wiadomo gdzie co jest. Brakuje jednego specjalnego miejsca w najbliższej ruchliwej części miasta, w któ-



rym znalazłyby się wszystkie razem, ładnie wyeksponowane w witrynie. Miejsca, które objęłoby patronat nad regionaliami i pilnowałoby, żeby zawsze wszystkie tam docierały. Może to być księgarnia już istniejąca, która poświęciłaby jeden ze swoich działów na swojej powierzchni. Modelowym przykładem jest Antykwarnia Zbigniewa Biernackiego, gdzie takich publikacji można najczęściej znaleźć, a i sam antykwariusz stara się je kompletować. Dziwię się, że takie centrum jeszcze u nas nie powstało, bo nawet małe miasteczka dbają o swoją tradycję, nie mówiąc o takich miastach jak Kraków, Wrocław, Gdańsk czy Warszawa.

– **Czy w takim centrum byłoby też miejsce na miejscową literaturę?**

– Oczywiście. Częstochowa to nie tylko Poświatowska, choć ma ona tutaj chyba najwięcej wielbicieli. Przecież tworzy tu grono innych twórców, zrzeszonych i nie, którzy mają problem z wyjściem ze swoim dorobkiem

w świat. A gdzież oni się mają pokazywać, jak nie tutaj? Środowiska twórcze mają tendencje do zamykania się w swoich ośrodkach, więc niech ono będzie tutaj takie jakie jest, ale niech ich książki będą dostępne dla czytelników. Większość autorów ma problemy ze sprzedażą swoich dzieł. Przydałyby się ulotki z okładkami i cenami książek.

– **Czy księgarnia internetowa nie załatwiłaby sprawy?**

– Nie sądzę. Bywalec Internetu szuka czegoś innego. Ważne żeby takie książki były obecne i widoczne fizycznie w środku miasta.

– **Nieco mi brakuje ładnych, kolorowych albumów o Częstochowie. Praktycznie najwięcej drukuje się o Jasnej Górze. O Jurze też jest niewiele...**

– Niestety, foldery drukowane przez Urząd Miasta idą na promocję miasta w świecie. Natomiast nie widać ich wyraźnie w miejscach, gdzie trafia turysta, pielgrzym, osoba zainteresowana. Co ciekawe, o Częstochowie drukują wydawnictwa wrocławskie, np. Wydawnictwo Dolnośląskie, a ostatnio Pascal z Bielska Białej. A gdzie mapy i przewodniki drukowane przez Związek Gmin Jurajskich? Gdzie można kupić komplet sagi jurajskiej Mariana Rawinisa?

– **Napisałeś już „Częstochowę dla każdego” i „Kalendarium częstochowskie”. Czy piszesz następną książkę i o czym ona będzie?**

– Przyzwyczailem się, że stale coś piszę. Nie będę zdradzać planów, na to jest za wcześnie. Tym bardziej, że sam tekst nie „zrobi” książki. Od pomysłu czy słów, które – przyznam – dopiero się rodzą, jeszcze ważniejsza jest strona graficzna, ilustracyjna, zdjęciowa – a to poważne zadanie dla mojego przyjaciela, Jacentego Dędkę, i znów długa praca, którą wykonuje zawsze niezwykle rzetelnie, co zresztą widać po wspomnianych publikacjach. Dopiero fuzja naszych pomysłów i działań daje coś, co (zawsze mamy taką nadzieję) spodoba się częstochowianom i nie tylko. Oczywiście pragnę, by znów było to coś o mieście takim, jakie zakochani w Częstochowie chcą znać: z tradycją i urokiem.

– **Dziękuję za rozmowę.**

LEDWO ŚWIŁ, JESTEM NA NOGACH. JAK ZAWSZE u początku dnia depresja, melancholia, Weltschmerz. Dlaczego? Nie wiem. Może dlatego, że nie dzieje się wokół mnie nic ważnego, twórczego. Okno, naprzeciw ten sam blok, ten sam pokój, w którym jestem, ta sama nuda, to samo NIC.

W takich chwilach – pragnienie śmierci, nieistnienia. Każdy głośniejszy dźwięk przechodzi przeze mnie elektrycznym dreszczem. Umrzeć, zasnąć, zasnąć... Nic nie czuć, nie myśleć, roztopić się w nicości, nirwanie.

Psychotropik. Czekam. Już lepiej. Świat pozwoli wyłania się jak ogród z jesiennej mgły. Ożyły w mózgu neutrony. Tylko częściowo. Nadal cały system jest niczym zepsuta klawiatura katedralnych organów. Ile trzeba smutku w mojej studni, aby rozerwać cembrowinę ciała?

Lek pamięci. Wiśniowy ogród. Wdrapuję się na drzewo jak kot. Ciężkie, opasłe sokiem i czarną czerwienią wiśni. Zrywam je gorączkowo, pakuję do ust, sok spływa po brodzie. Wypluwam pestki. Jem łączywie, choć nie jestem głodny. Zapach tamtego sadu czuję do dzisiaj. Kiedy to było? Chyba latem 1939 roku. Tuż przed wielką katastrofą, która jednym zamachem odmieniła osobowość dziecka tak radykalnie, jakbym się urodził powtórnie. Ale to już inna historia. Wiśni ani śliwek w niej nie ma. Ani konfitur z tych owoców. Jest czarny, gliniasty chleb kartkowy z włosami żyta, jęczmienia. Boże, jak on smakował! Bardziej niż wpychane do ust wiśni. Chleb życia!

* * *

Mira sprzedała znajomym więcej moich książek niż wszystkie księgarnie! Czym się jej odpłacę, gdy się broni przed każdą formą wdzięczności? Pomyślałem o wierszu. Zacząłem pisać. Niestety, każde słowo rzucone na papier, każda myśl – wydały mi się niedorzeczne, głupie. Więc nawet na zamówienie własnego serca pisać już nie potrafię? Niech będzie symboliczny bukiet kwiatów, nie kupionych, lecz zebranych, zebranych na polu, skraju lasu. To będzie dla niej najmiłsze. Z kwiatami wsunę jej w śliczną dłoń prawdziwego krasnoludka w czerwonym kubraczku, żółtej czapeczce i zielonych, jak jej oczy, trzewikach.

* * *

Upał. Dyszę w domu. Niedawno wróciłem z Jaskrowa. Rano było tam jeszcze chłodnawo, odzywały się ptaki, do czubków drzew kleiły się drobne pasemka mgły. Kiedy słońce się wdrapało wyżej, zarośla zaczęły też parować. Z lasu

uciekłem przed komarami, które mnie obrały ze cel, jakbym był honorowym dawcą krwi. Nie odstraszała ich nawet gałąź dębowa, którą siekłem się po twarzy i dłoniach. Teraz odpoczywam na starej kanapie. Patrzę bezmyślnie na ścianę. Trzy obrazy: kolorystyczny Kazimierz (jakże mógłby być inny), martwa natura, słoneczniki w kopulastym wazonie i pejzaż Miry w zielonkawej tonacji. Na dwóch fotelach dwie dziewczynki: Julia (wnuczka, co przyfrunęła znad norweskich fiordów) i jej polska koleżanka Dominika. Ćwiczą się w angielskim. Julia coś tłumaczy o dopełniaczu saksońskim. Zresztą językiem Byrona mówi biegle. Maria przygotowuje obiad. Zapach cebuli, koperku i duszonej papryki. Powiniennem już coś pisać do następnego numeru „Alej 3”, lecz jestem rozleniwiony jak kot Maciuś wylegujący się na parapecie. O czym myślę, co mam w oczach? Norweski śnieg. Gdyby był śnieg, tęskniłbym za lipcowym ciepłem. Rozdarcie naszych pragnień. Maciuś zeskakuje z kanapy i zlizuje mi pot z ręki. Co za upodobanie...

* * *

Mira przytęszczyła wielki i dziwny obraz malowany pastelami. Nie portret ani krajobraz, lecz jakiś historiozoficzny symbolizm. Kościół, krzyż, na którego obu skrzydłach wiszą wielkie różańce. Kilka lip. Drzwi do świątyni zamknięte, wisi wielka kłódka. Na schodach siedzą: Stańczyk, chłop z kosą, jakiś wielmoża z gołą, łysą głową we wspaniałym futrze, chociaż po drzewach widać, że to czas letni. Na najniższym schodku malarka uplasowała chłopskie dziecko o chudych nogach, bose, nędznie wyglądające. Wszystko w tonacji brązowo-żółtej z pasemkami czerwieni.

– Co chciałaś wyrazić?

Mira długo się zastanawia, w końcu uśmiecha się, pokazując swoje białe zęby. Sięga ręką do platinowych włosów.

– Trochę historii Polski, trochę aby odejść od krajobrazów, kwiatów, no i żeby ciebie wyprowadzić z równowagi...

* * *

19 ofiar śmiertelnych, jeszcze więcej rannych, mniej i ciężej. Oto druga strona cywilizacji, postępu technicznego. Nie tylko wypadki na drogach. Codziennie maszyny stworzone przez ludzi zabijają swych twórców. Więc lepiej (to tylko nierealne teoretyzowanie) byłoby cofnąć się do czasów Mieszka I? Średnia umieralność była wtedy b. wysoka. Gdy św. Jadwiga umierała przy porodzie, miała za ledwie dwadzieścia pięć lat. Nie wyliczam chorób,

epidemii, plag najrozmaitszych, które pustoszyły Europę. To wszystko wiadomo. Po zjrzeniu do kilku książek zainteresowało mnie co innego. I oto jaki musiałem wysnuć wniosek: mimo feudalnych warunków różnica bytu między wielmożą wczesnego średniowiecza a przeciętnym mieszkańcem osady była mniejsza niż dzisiaj, porównując bogacza z obecnym (też przeciętnym statystycznie) mieszczuchem. Oczywiście, rozwarstwienie to odbywa się teraz na ogólnie wyższym poziomie.

* * *

Mira wpadła do mieszkania z rozwichrzonym, rozpalonym do białości buszem włosów. Otworzyła wszystkie okna.

– Co się stało? – zapytałem zdumiony.

– Wygrałam!

I zaczęła tańczyć wokół stołu.

– Co wygrałaś, dziewczyno?!

– Wygrałam życie! – zawołała.

Spojrzałem uważnie na szczupłą kobietę o platynowych włosach, zielonych iskierkach w oczach, małych piersiach (jej ojciec – Ormiannin), wysportowanej sylwetce.

– Przecież żyłaś, nic tobie nie zagrażało i nie zagraża?!
– Ale zaczynam inaczej... teraz będę żyła śmiertelnie!

– Nie rozumiem.

– Właśnie. Ja zrozumiałam!

* * *

Wernisaż u Małgosi. Nie urzędowy, prywatny pokaz dorobku malarskiego. Schodzą się zaproszeni goście. Wystawa w przydomowym ogródku. Jedne obrazy wiszą na ścianie domu, inne oparte o krzewy i żywe kwiaty, ustawione gdzie się tylko dało. Cała formalność wyparowała – luz, żart, dowcip, zabawa. Tylko osoby pozbawione poczucia humoru miały kwaśne miny. Zabrakło im akademii i przemówień. A gospodyni (Małgosia) szalała. Najpierw nakarmiła zwiedzających słodyczami, napojami. Robiła to w kostiumie kąpielowym. Na deser mieliśmy porzeczki i inne owoce wprost z krzewów i małych drzewek. Musiała jednak coś powiedzieć o swojej drodze twórczej. Żartem mianowała mnie komisarzem wystawy, przeto musiałem dać wyraz swemu zachwytowi. Kilka płócien naprawdę mi się podobało, np. jedna martwa natura i „Storczyki” w krajobrazie jakby przeniesione z tropiku, fantastyczne i zmysłowe. Dla spontanicznej osobowości Margot było to za mało. W półamoku zaczęła deklamować własne wiersze. W ogóle nastrój dionizyjski. Wzmógł go jesz-

cze malutki antałek alkoholu. Do domu, na przeciwległy skraj miasta, odwieźli nas PP. Przewłoczy. Chwała im za to! Nazajutrz skoro świt Małgosia z mężem (weterynarz) wyjechali na wycieczkę do Londynu. Jędrna gospodyni musi mieć dużo siły, i fizycznej, i psychicznej. To była przewybor-na zabawa... Ze sztuką w tle.

* * *

Właśnie teraz, gdy nieznośny upał wyciska ze mnie pot i wszelką aktywność, przywołuję przed oczy Norwegię. Biały łubin czystego śniegu (zaraz bóstwo Azteków przeniesie go w nieistnienie) tuż przy bujnej, wysokiej trawie. Nieopodal kwitną jabłonie, polne grusze i jasnofilotetowe, drobne kwiatki, których nazwy nie znam. Jeszcze dalej na północ srebrzy się w słońcu, na najwyższych partiach obłych gór – wieczny lodowiec. I trzy pawie oka jezior. „Jesteś zmachany” – mówi Mirra i usiłuje wziąć moją torbę. Nie pozwalam. „Wszyscy jesteśmy wędrownikami i co los dał nam do rąk, musimy dźwigać sami” – odpowiadam – „i nieść do końca.” Więc rezygnuje z pomocy i siada na pniaku. Tak, tutaj jest trochę cienia. Kładę głowę na jej kolana. Patrzę na kilka postrzępionych obłoków. Latawce, dziurawce. I jarzębina już czerwona. Odwracam głowę. Na wyschniętej sosence, z której zostało trochę patyków, pająk rozsunął swą pajęczynową sieć. Błyszczą kropelki rosy. W jaki sposób tam się dostały?

* * *

Żywy organizm od pewnego momentu już się nie rozwija, przeciwnie – zaczyna ulegać powolnej destrukcji. Podobnie, lecz z licznymi wyjątkami, ma się rzecz z poezjowaniem. Następuje apogeum sił twórczych, potem stopniowe stacanie się w dół. Poetów wybitnych nie dotyczy ta degrengolada. Cykl tzw. Lozańskich liryków Mickiewicza uważam za najpiękniejszy i najładniejszy w literaturze polskiej. Twórcy natomiast niskiego lotu (jak kuropatwy) po przekroczeniu pewnej bariery wiekowej spadają na ziemię, (inaczej bywa z prozaikami), z czym rozpaczliwie nie chcą się pogodzić, przeżywając życiowy dramat. To jest jak z impotencją: szkoda łez, gdy kres. Co w takim przypadku robić emerytom? Najlepiej przestać pisać, zacząć malować lub wrócić do szedelkowania. Są jednak i tacy, wiem to z praktyki, którzy nie porzucą nigdy grafomaństwa, ponieważ urodzili się z absolutnym brakiem samokrytycyzmu. Tacy niech czytają wiersze **tylko** w gronie rodziny, np. swoim wnuczętom ■

Natalia Hurnik: Jest Pan częstochowianinem?
Adam Patrzyk: Tak, urodziłem się w Częstochowie, w 1965 roku. Tu spędziłem całe dotychczasowe życie, z przerwą na studia.

Gdzie się Pan uczył malarstwa?

W Częstochowie ukończyłem Liceum Plastyczne. W latach 1988-1993 studiowałem w Warszawie, na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych, w pracowni prof. Stefana Gierowskiego.

Kto był Pańskim mistrzem, kiedy zaczynał Pan drogę artystyczną?

W liceum byłem zdecydowanie pod wpływem twórczości Mariana Michalika. Zetknięcie z martwymi naturami, realistycznymi obrazami tego artysty było prawdziwym szokiem – w najlepszym znaczeniu tego słowa. Połowa liceum była pod wpływem Michalika.

Czy dlatego na wystawie w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie w roku 1997 zatytułowanej „Czy malarstwo może zbawić?” zaprezentował Pan obraz „L’Hommage Marian Michalik”?

Tak, obraz jest dedykowany artyście, którego podziwiałem.

A dzisiaj? Kogo Pan ceni najbardziej?

Trudno mi obecnie wskazać kogoś, kogo nazywa się mistrzem. Lubię wielu malarzy. Może wyróżniłbym Rembrandta, którego podziwiam, zwłaszcza za starszy okres twórczości.

Pańskie malarstwo przeszło różne przeobrażenia. Czy mógłby Pan powiedzieć coś na ten temat?

Na początku fascynowało mnie malarstwo realistyczne. Na studiach też zaczynałem – siłą rzeczy – od prób realistycznych. W pracowniach były modele postaci, tworzyliśmy martwe natury. Na IV roku zacząłem poszukiwać własnych, indywidualnych form wyrazu. Już wtedy pojawił się tak ważny dla mnie motyw okna, motyw wejścia i wyjścia. Tytuł mojej teoretycznej pracy dyplomowej na V roku brzmiał: „Okno”. Potem pogłębiałem ten temat. Interesowały mnie takie problemy jak przechodzenie jednej strefy w drugą, przestrzeń zamknięta i otwarta. Do dzisiaj w tematyce moich obrazów zasadniczej odmiany właściwie nie ma, nastąpiła natomiast zmiana formy.

Pańskie obrazy od dawna przedstawiają wnętrza: – pokoje, łazienki, biblioteki, przedmioty,

z którymi spotykamy się na co dzień, ale jednocześnie sprawiające wrażenie nierealne, wizyjne. Podkreślają to recenzenci piszący na temat Pańskich wystaw, np. z roku 1999: „Czas stanął w miejscu. Sennie majaczące pejzaże, opuszczone, samotne pokoje, owiane majestatycznym spokojem place...” (Joanna Kornecka). Na czym polega zmiana, o której Pan wspomniał? Co obecnie uważa Pan w swoim malarstwie za najistotniejsze?

Bardziej znacząca stała się dla mnie faktura, a właściwie współdziałanie faktur poprzez nakładanie farb w kolejne warstwy. Chodzi mi o to, by uzyskać efekt – jeśli tak można powiedzieć – „biologiczny”. Temat określony jest architektonicznie, natomiast poprzez strukturę dokonuje się biologizowanie. Ważne jest dla mnie, jak kolor spod spodu działa na kolor ostatniej warstwy, ich wzajemna zależność. Podobnie wielką wagę przywiązuję do rytmu. Pragnę go wprowadzać poprzez powtarzanie pewnych stałych elementów w obrazie, takich jak arkada, okna, proste pasy, linie.

Krytycy dostrzegali i doceniali wagę zasadniczych cech Pańskiego malarstwa. Pozwolę sobie przypomnieć kilka opinii. Piotr Głowacki we wprowadzeniu do „Obrazów” Adama Patrzyka (1998) pisał: „Obrazy tworzy struktura włókien koloru w jego bogactwie jasnych odcieni o sugestywnej intensywności i pełni mocy. Kolor jest jednocześnie materią i światłem przedmiotów i atmosfery, wciągających w tajemniczość postrzeganej mentalno-emocjonalnie egzystencji”. I przywoływana już wcześniej w naszej rozmowie Joanna Kornecka: „Artysta czyni autonomicznym kolor, do maksimum doprowadza jego intensywność i dźwięczność. To właśnie w dużej mierze barwa utwierdza formę, może nawet sugeruje nasze emocje. (...) Czuć ciężar i zapach kładzonej za grubo farby. (...) Te obrazy można czytać niemal z zamkniętymi oczami, powoli i delikatnie przesuwając palcami po zmysłowej tkance.”

Tyle o twórczości, ale chciałabym jeszcze zapytać, jakie wydarzenia w Pańskim życiu artystycznym były najbardziej znaczące?

Ważny był dla mnie udział w każdej wystawie, ale, co chyba oczywiste, szczególnie cenię sobie wystawy indywidualne – np. tę w Galerii Krytyków POKAZ, którą prezentowała Małgorzata Baranowska, i tę ostatnią, zorganizowaną przez Miejską Galerię Sztuki w Częstochowie. Była ona moją największą wystawą.

Pani Baranowska, poetka, krytyk i historyk literatury to osoba obdarzona niezwykłą wrażliwością. O Pana twórczości napisała m.in.: „To malarz, który dwa miesiące maluje każdy obraz, wyraźnie dąży do namalowania metafory nieskończoności. W swoim spójnym i konsekwentnym świecie zastawia na widza pułapki przestrzeni. (...) Obrazy Patrzyka zanurzone są w jakimś dziwnym bezczasie. A może właśnie w wieczności. (...) Wszystko w tym malarstwie jest podporządkowane pragnieniu, by materialnymi, a więc przemijalnymi, środkami wyrazić nadzwyczajne, choć przecież jak najbardziej dostępne doświadczeniu człowieka spotkanie człowieka z nieskończonością”. O obrazach prezentowanych na ostatniej wystawie pisano, że przedstawiają „metafizyczny świat bez ludzi” (Joanna Zawierucha), „metafizyczny czy nawet oniryczny klimat rodzący pytania” (Tadeusz Piersiak). To opinie, które sytuują Pana twórczość wśród wartości uniwersalnych. Jak Pan to odbiera?

Nakładanie znaczeń na obrazy dokonuje się w zasadzie poza mną. Tematy, które poruszam są dosyć proste – np. stół. Proste, ale pojemne: przy stole można jeść chleb, ale można też spotkać się przy nim z człowiekiem... Moje obrazy mają otwierać różne furtki, którymi każdy może wyjść w innym kierunku. Daję swobodę interpretacji odbiorcy. Nic mu nie narzucam, nie chcę zmuszać do refleksji typu: „co autor miał na myśli”.

Czy ma Pan wrażenie, że ostatnia, zbiorcza wystawa zamknęła jakiś ważny etap Pańskiej twórczości?

Nie, nie odczuwam tego w taki sposób. Planuję nadal pozostać przy podobnych tematach i technikach oraz poszerzać krąg zainteresowań. Myślę

już na przykład o podjęciu motywów industrialnych, dużych metalowych konstrukcji, ale to jest jeszcze na razie w fazie eksperymentów technicznych, zwłaszcza, że wiąże się z częściowym przejściem od malarstwa w stronę grafiki. Dojrzewam też powoli do myśli o namalowaniu człowieka, ale to chyba jeszcze odległa przyszłość. Interesuje mnie także, co można było zobaczyć już na ostatniej wystawie, zestawianie dwóch struktur obrazu, opartych na dwóch odmiennych technikach malarskich: powierzchni płaskiej i faktury.

Plany na najbliższą przyszłość?

Przygotowuję się właśnie do wystawy, która będzie prezentowana w Galerii ART w Warszawie, przy Krakowskim Przedmieściu, w październiku tego roku.

Kto kupuje Pańskie obrazy?

Swoje obrazy sprzedaję głównie w Warszawie. Kupują je ludzie z różnych środowisk, prawnicy, biznesmeni, także przedstawiciele rozmaitych instytucji i firm. Przede wszystkim jednak – przybysze z zagranicy.

Czy Warszawa – jak się powszechnie uważa – rzeczywiście stwarza artystom większe możliwości niż inne miasta?

Trudno mi formułować jakieś ogólne wnioski na ten temat. Wiem jednak, że malarze z Częstochowy wystawiają swoje obrazy w Warszawie tak często, że stanowią najliczniejszą – po warszawskich artystach – grupę wystawiającą w stolicy. A ten fakt chyba jest znaczący.

Dziękuję za rozmowę i życzę powodzenia w dalszej pracy twórczej.

ADAM PATRYK

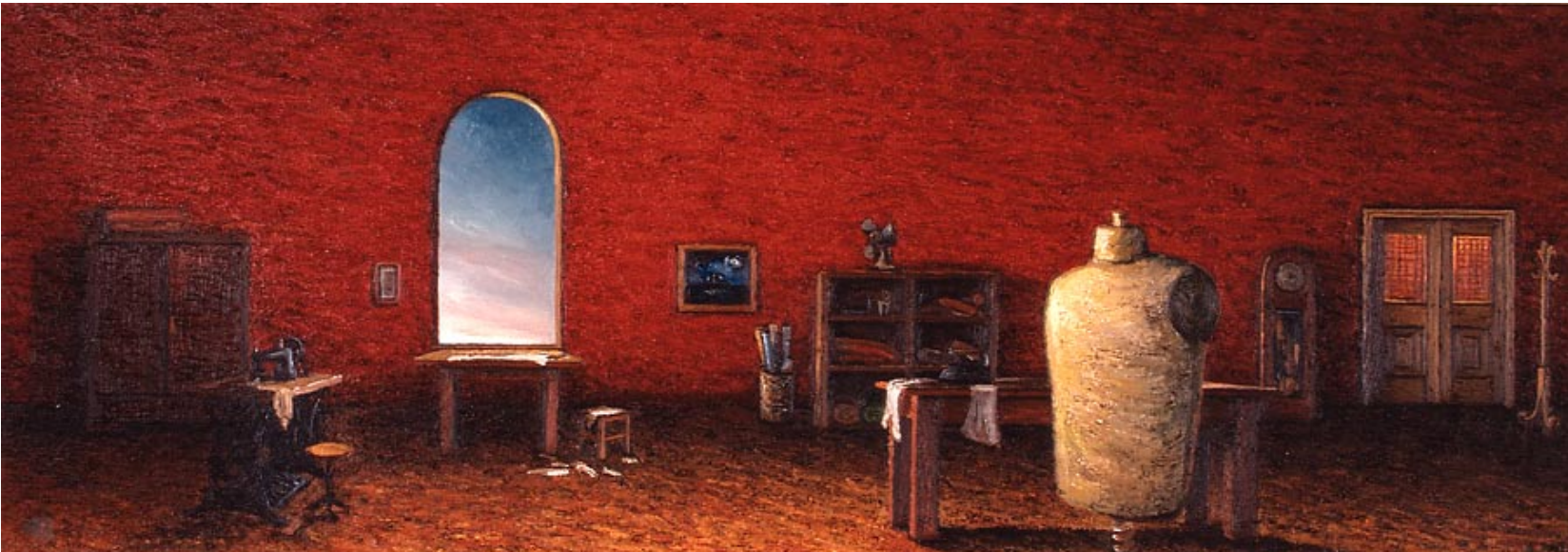
– artysta plastyk: malarstwo sztalugowe

Wystawy zbiorowe:

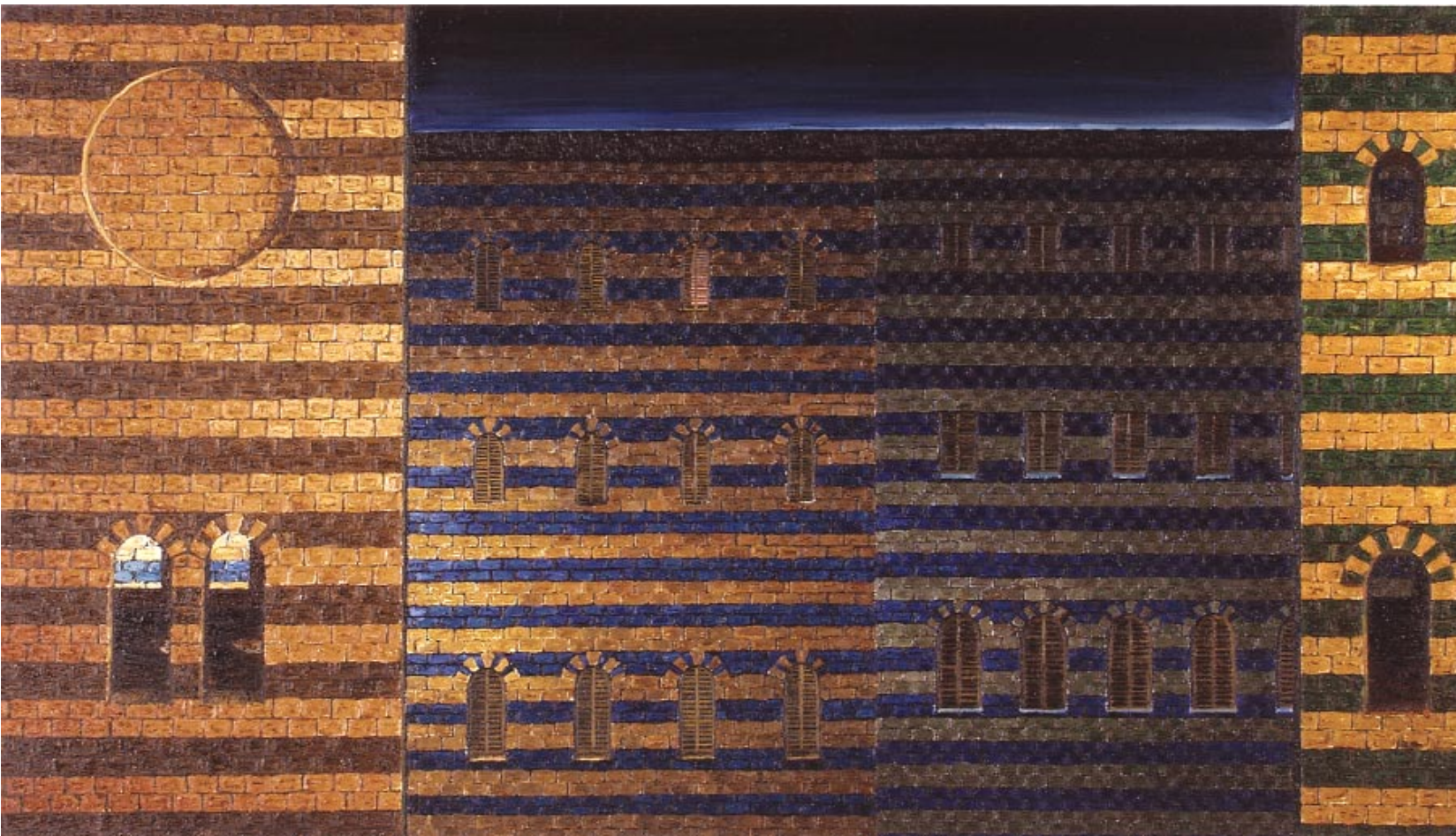
1994 – Katowice, Ogólnopolski Festiwal Małych Form (Nagroda Główna)
 1994 – Poznań, Galeria „Mill-Art”
 1995 – Warszawa, Galeria „ART”
 1996 – Warszawa, Galeria „ART”
 1996 – Strasbourg, Międzynarodowe Targi Sztuki
 1996 – Częstochowa, Muzeum Częstochowskie – Ratusz
 1997 – Częstochowa, Miejska Galeria Sztuki

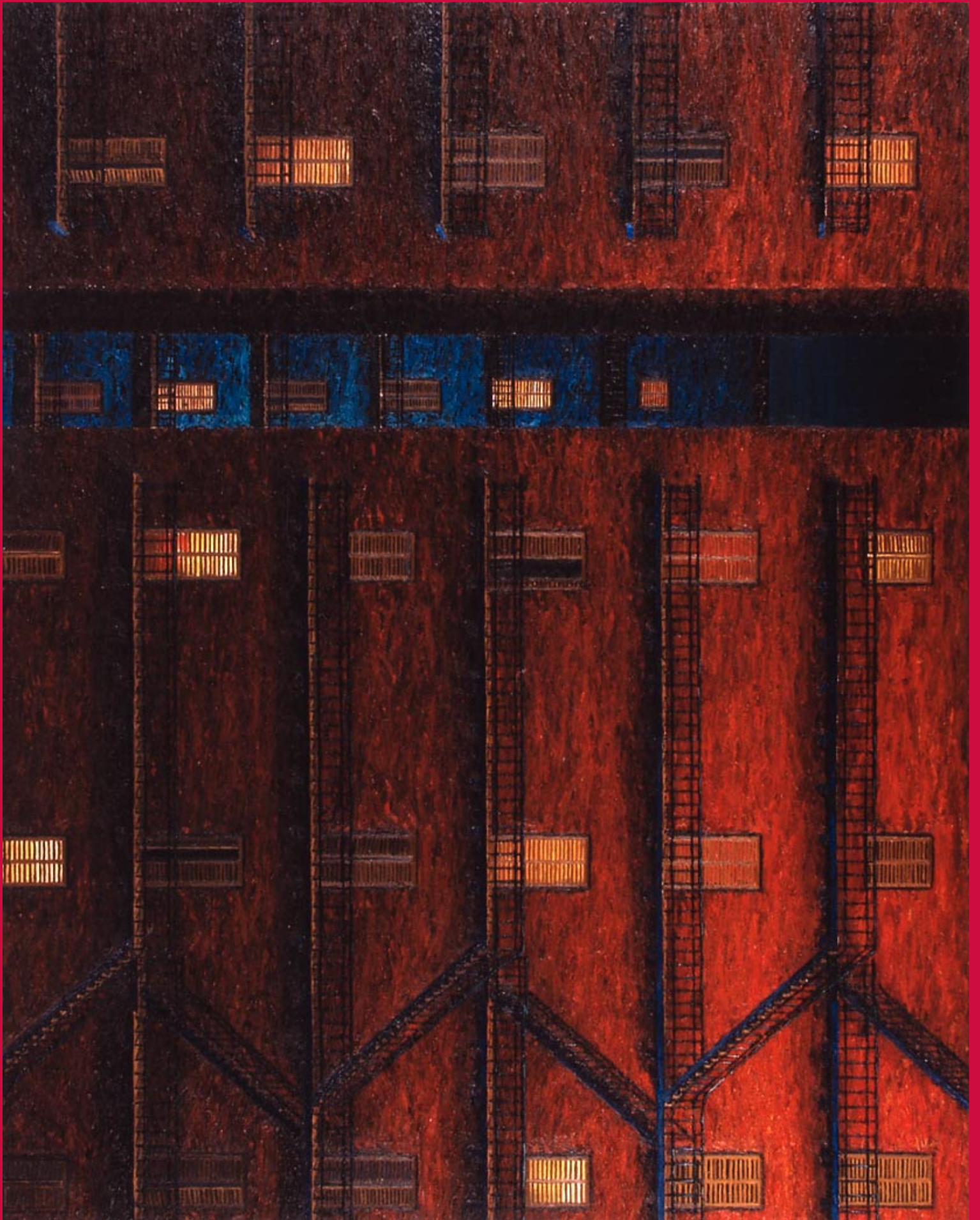
Wystawy indywidualne:

1995 – Wiedeń, Instytut Polski
 1999 – Warszawa, Galeria „Karowa”
 1999 – Galeria Krytyków POKAZ
 1999 – Achim, Haus Hunenburg
 2002 – Częstochowa, Miejska Galeria Sztuki



Adam Patrzyk





Adam Patrzyk